

ZDROŃ



*Dwutygodnik ilustrowany
 poświęcony Sztuce i Kulturze*

ZDRÓJ

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYSŁOWEJ

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA” w Poznaniu. — Pod kierownictwem JERZEGO HULEWICZA.
ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: „Ostoja” Poznań — Plac Wilhelmowski 17.

Prenumerata roczna (na pocztę) — 40 marek, **półroczna** — 20 marek, **kwartalna** — 10 marek
Zeszyt pojedynczy 3 marki. — **Przesyłka pod opaską** 15 fen. za zeszyt.

OGŁOSZENIA: Cała strona — 150 mk., pół strony — 80 mk., ćwierć strony — 45 mk., jedna ósma strony — 25 mk.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie od godziny 11-tej do 1-szej i od godziny 3-ej do 7-ej.

OD REDAKCYI: **Rękopisy** zwraca się po nadesłaniu kosztów przesyłki. — **Odpowiedzi na listy** za nadesłaniem mar. pocztowej. — **Rękopisy bez nazwiska autora** i wyraźnego adresu niszczy się bez czytania. — **Redakcja** nie wdaje się w dyskusje na temat nieprzyjętych rękopisów ani nie podejmuje się żadnych ocen tychże.



Wykwintną brylantową biżuterję, znakomite zegarki

poleca

W. SCHULTZ W POZNANIU

Nowa ul. 8., w Bazarze.

Tel. 1484.

Rok założ. 1873.



„Westa“

Bank Wzajemnych Zabezpieczeń na życie

Rok założenia
1873

w Poznaniu

Rok założenia
1873

Zawiera wszelkiego rodzaju ubezpieczenia na **dożycie**, na **wypadek śmierci**, na **posag** z rewizją lekarską i bez rewizji

W razie przedwczesnej niemocy zwolnienie — od spłaty składek i płatność renty —

Nizkie składki

wzrastające dywidendy

dogodne warunki

Ubezpieczenia ryzyka wojennego przyjmuje się i w czasie wojny

Siedziba dyrekcyi w Poznaniu w własnym gmachu św. Marcin 61

Oddział w Warszawie: Aleje Jeruzolimskie 31
Ajencye specjalne w każdym większym mieście.



załatwia z członkami wszelkie interesa bankierkie.
Pożyczki na przystępnych i dogodnych warunkach.
Papiery wartościowe jako pewna i korzystna lokacja kapitałów.
Rachunki czekowe z wiekimi dogodnościami dla wpał i wypał.
Udziały członków przynosiły 8 procent dywidendy.
Wkłady i oszczędności oprocentowuje od dnia złożenia pieniędzy po 3, 4 i 4½ procent.

ADRES:

BANK LUDOWY, Inowrocław (Hohensalsza).

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYŚLOWEJ

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: OSTOJA — POZNAŃ PLAC WILHELMOWSKI 17.

TREŚĆ: Poeta a świat — Stefan Stasiak. Z „Genezis z ducha” — Juliusz Słowacki. U poetów — Miriam. Opowieść rybalta (powieść — C. D.) — Wacław Berent. Ogrodnik — Rabindranath Tagore — spolszczył Jan Kaaprowicz. Cykl sonetów — Jerzy Drobnik. Anima mundi (fragment powieści) — Jadwiga Marcinowska. Miscellanea.

RYCINY: Improwizacya I. i II. — Władysław Skotarek. Krajobraz (lineodruk) — Stefan Szmał. Akt (linoleodruk) — Stanisław Kubicki. Krajobraz (linoleodruk) — Stefan Szmał. Inicyały i winiety — Jerzy Hulewicz.

POETA A ŚWIAT.

O TWÓRCZOŚCI.

(W odpowiedzi na list otwarty redakcyi
„Zdroju” do Wiktora Gomulickiego.)



wiat nie został dotąd stworzony. Sabbath jeszcze nie nastąpił. Bóg nie odpoczywa, złożywszy ręce na podółku.

Poeta jest brzuszkiem bożego palca, gniotącego dalej glinę życia.

Glina zżyma się, że jej nie dadzą spać, a w każdym nowym kształcie, nito na świeżem posłaniu, układa się do nowego snu, mruczając: nie budź mnie!

Bóg nie złożył rąk na podółku. Bez przerwy i w coraz to dalsze przestwory ciska ogromne, pałające słońca, wołając za każdym: ha, piękneś!) — zdiera z nich pasy ogniste, rwie na sztuki, toczy i skraża w przestrzeni, jak płonące ziarno na niebios przetaku — i aby stygły, odejmuje od nich na chwile swe dłonie — zaczęm na nowo ze zwęglonych czerepów krzesze iskry życia, uczucia, myśli: roznieca płomienie nowego światła, bez którego światło miliona słońc pozostałoby nieprzeniknionym na zawsze mrokiem.

Albowiem to, co jest światłem i jawą ducha na jednym jego szczeblu, na następnym byłoby już tylko snem jego, mrokiem i w dosłownem znaczeniu materją. Nieinaczej pojmował materję Arystoteles, gdy ją odróżniał od formy, która z niej pod działaniem twórczej energii powstaje i sama staje się z kolei materją, czyli już tylko pewną możliwością, oczekującą nowego przyływu energii.

¹⁾ *Kalón* znaczy piękne raczej, niż dobre (Gen. I, 4).

(Człowiek więc jest materją swedenborgjańskiego anioła lub nietzscheańskiego nadczłowieka, gasząc zaś w sobie pochodnie ducha, schodzi istotnie do rzędu „bydła”, formalnie i materialnie. Określenie to, jakkolwiek pozbawione wszelkiego metaforycznego pierwiastku, nie wyjaśnia wszakże niepojętej potworności ewolucji, z którą tu się niewątpliwie ma do czynienia. Maeterlinck mówi o lęku, jakim przejmują figury woskowe, i objaśnia to ich pozorami życia, którymi zakrywają jego brak tajemniczy. Większy stokroć lęk i wlos jeżąca zgroza przenika żyjącego duchowo człowieka, gdy pod pozorami wewnętrznego życia odkrywa zupełną, metafizyczną próżnię w ludzkiej istocie! Błogie, lecz obosieczne prawo przystosowania sprawia, iż stopniowo przestaje się tę zgrozę odczuwać).

Materja nie jest bytem. Duch jest twórczością. Poza twórczością niema więc bytu. Jest tylko ten, co tworzy. Sława pośmiertna twórców jest tylko zewnętrznym symbolem, zbędnym i niedokładnym znakiem istoty rzeczy, którą jest byt, nie znający konjugacyi czasów.

Trzy są sposoby obcowania z wiecznością. Jednym ze skrzydeł ducha jest Religja. Drugiem — Sztuka. Myśl podąża za niemi nakształt ogonu ducha-głębcicy, już to porywana przez nie, już to niemi kierująca. Europa łopotała dotąd naprzemian albo jednym ze skrzydeł, albo ogonem. Musiała kiedyś runąć śmiertelnie.

Na najgłębszych ducha podkładach, w sferze Woli, tworzą święci ideał Dobra. W dziedzinie uczucia odpowiada mu ideał Piękna, tworzony przez artystów. W planie Myśli tworzą mędrcy ideał Prawdy. Nawet nauki doświadczałne nie „odkrywają” bynajmniej „praw”, lecz je również tworzą, co zaczynają spostrzegać sami uczeni.¹⁾

W każdej z tych dziedzin duch tworzy z siebie samego i jest na obraz swego Stwórcy jeden i niepodzielny, choć we trzech jakoby osobach. Kontemplacja dzieła sztuki ma zawsze coś z religijnej ekstazy i jakby zatopienia w modlitwie, którym w planie myśli odpowiada głębokie skupienie i zupełne wchłonięcie w siebie uwagi, jakiego żąda od umysłu wszelkie zagadnienie lub idea. Dusza wyciąga dłońe po błyszczącą zabawkę i zakrywa się skrzydłami od reszty świata, by ją pieścić jak drogocenną urnę, lub łać w nią łąy w cichości.

Różnice między dziedzinami twórczości, odpowiadającemi trzem władzom duszy według dotychczasowego podziału psychologii, tłumaczą się naprzód niejaką tychże odrębnością, a następnie rozbieżnością swych metod; ale i w tych ostatnich widać parallelizm, który unaocznia podkreśloną tutaj identyczność duchowej twórczości. Hypotezom twórczym w nauce odpowiada powstawanie szkół i nowych prądów w sztuce oraz rozwój dogmatów w religjach, a właściwie tu i tam najczęściej atletyczny jakiś duch i nowe a mocne pchnięcie skrzydła. Wola, myśl, uczucie w najwyższem napięciu zlewają się w jeden krzak ognisty, skąd im odpowiada stłumiony głos Jehowy. Krzyk Pascala: „nieskończonych przestrzeni milczenie wieczne mnie przeraża!...” brzmi zarówno w historii myśli, jak w dziejach poezji i religijnego uczucia. Metafizyczne pomysły Śankary lub Spinozy, kosmogoniczna hipoteza Laplace'a, freski Giotta, fasada katedry w Chartres, Improwizacja w „Dziadach” i obrona Lucyfera w „Zborowskim”, Agnus Dei w Missa so-

¹⁾ Zob. piękny artykuł Łosia „O nauce” w „Poradniku Samouków”. Cz. I. Wyd. I.

lemnis — gną nam jednako kolana i przechylają dusze za kraj świata, nad cichą przepaść wieczności, którą w zgrozie i zachwycie poznaje jako swój początek.

Promienie ducha są jednak jak szprychy wielkiego koła: im dalej od piasty, tym bardziej się rozchodzą i w obręczy jego już się nie poznają wzajemnie — ona to jednak, żelazna jak czyn, który z ducha powstaje, kruszy twardą grudę materji. Czyn wyrasta z ducha drogą realizacji ideału. Wszystko inne, co nosi również to miano, przetoczy się z próżnym hałasem po zmarzłej grudzie życia i nie pozostawi na niej śladu.

Określenie stosunku życia do twórczości jest zatem prostym sądem analitycznym i zawiera się już całe w jej pojęciu. Twórczość, jako taka, nie może odtwarzać ani naśladować życia. Ono to, życie, czołga się ciężko za jej płomieniem śladem i, acz opornie i niechętnie, idzie wciąż za nią.

O stosunku sztuki do życia Norwid rzecze krótko: „Artysta organizuje wyobraźnię narodu” — t. j. tworzy ideał, który naród kiedyś zrealizuje w czynie — a w pół wieku później komentuje go Oskar Wilde:

„Życie podtrzymuje Sztuce zwierciadło i albo odtwarza stworzone przez malarza i rzeźbiarza typy, albo realizuje w czynie wyobraźnię poety, zaspokajając w ten sposób wrodzony mu instykt naśladownictwa i żądzę wyrazu.” — Nie sztuka naśladuje życie, lecz życie sztukę!

„Uragliwym śmiechem z brzucha” odpowiada tym słowom życie, przekonane, że słońce sztuki i wszystkie gwiazdy ducha kręcą się dokoła niego. Już Słowacki to słońce zatrzymał i pchnął. za niem życie, ale ileż się ono jeszcze razy obróci, nim wreszcie uwierzy? Wierzy ono zawsze naprzód oczom, któremi nie widzi się nigdy więcej, niż się dostrzega. Jak niegdyś w systemie Ptolemeusza wiara, tak dziś wszelkie inne obok niej fundamenty społeczne zdają się zagrożone.

Nie brak więc Galileuszów, garbiących się na widok zbijanych krzyży i odczytujących chórem odwieczne litanje, choć podobno mrużących sobie w zaręka-wie jakieś eppury.

A gdzieś w głuszy skrzypią krzyże... (usłyszy je naród po latach, gdy już dobrze spróchnieją). — Chcę dalej o tych krzyżach, ale mi je przedrzeźnia jakiejś basetli niesamowity szyd: Wierzysz że ty, chłopie, własnej gębie? Trybunał na kacerze sprawujec tu się jaki? Żaliż o fundamenta jeno panom ławnikom chodzi? Albo, jak niedawno wywiódł to przemądrze zanego grodu burmistrz:

„Gdzie też dobrodзикę ponosi, na miłosierdzie Boskie?! I jakie tam Muzy komu w głowie?”

Przecż że nam wtórować ichmościom, zawodzącym dziś nad Goszczyńskimi, że cerowali sobie sami skarpetki (może i pral?)! Komu się nie robi straszno od ohydneho grymasu *bestiae triumphantis*, chcącey jeszcze na domiar okazać swą litość „biednemu poecię” lub jakiemuś „upośledzonemu genjuszowi“?! Poeta — on bogacz od kolebki, który, mogąc wybrać, wybrał wieczne bogactwa i jest szczęśliwy, gdy je daje, gdy jest je komu brać? Nad wiekuistym bogaczem,

co chciał nędzę twą i nagość złotogłowiem przyodziać, litujesz się ty, duchowy żebraku?! — Cóż tam wierzysz w murze swym kikutem? Kielnię, patrzcie go, narychtowaną trzyma, drugi zasię dyguje brązową tablicę. Pokaż no: „Na strychu tego domu (czytajcie, czytajcie!) zmarł na opuchliznę głodową wielki nasz artysta...” Odnowi się galanto kamienicę... Koszta — nic to. Trza — to trza. Społeczeństwo, ma się wiedzieć, ofiarne... Aż tu niejeden, nie w ciemę bity, bierze się na sposób: zarywa w ostatniej chwili gospodarza, jak Malczewski, i ciągnie swój zewłok do szpitala — albo i zgoła (kawalarz z tego Norwida, hi, hi!) zapodziewa go całkiem niewiadomo gdzie...

Szukajże go teraz ze swą tablicą... szukajże choć własnej duszy!
Skrzyp że, krzyżu — szydź basetlo!

Kopenhaga, 24. XII. 1917.

STEFAN STASIAK.



Nie obojętny więc o Panie jest mi kolor każdy i kształt listka każdego, albowiem odkrywa mi ducha naturę, i pracę mi własną niegdyś w roślinie odbytą opowiada... Każdy ząbek listka wiem co znaczy — każdym się bowiem kształtem duch mój z pracy swojej wyłómaczył...

SŁOWACKI, „GENEZIS Z DUCHA.“

U POETÓW.

STEPHEN PHILLIPS.

DO MILTONA-SŁEPCĄ.

*Ten, co rzekł nagle: „Niech się stanie światłość!”
Przezornie teraz ciemność dał ci znowu,
By pełni oczu twych nie rozrywało
Ułudne niebios i pół widowisko,
Którego przepych odęca od Prawdy.
Dał ci z powrotem noc pierwotną: własne
Swe straszne, wielkie, białe, czyste płótno,
Gdzie — na myśl każdą — gwiazda błyska, śpiewa.*

*O, z osobliwej ślepcze błyskawicy,
Dziewiczą Ciemność posiadłeś odnowa!
A kiedy luby, kwietny widok, który
Oczom twym patrzeć przeszkadzał; gdy cały
Ten świat niedawny ustąpił i minął, —
Pierworodniejsza rozptonęła chwata
Przed twoim wzrokiem: przestwórz w mękach znowu,
I wonny Eden we mgłę porankowej;
Ta wzdymająca się wodna równina,
Którą był świat nasz; potem rozżagwiona
Ziemia, i Chrystus przychodzący w chmurach.*

*Albo też raczej wyroki szczególne
Wysokiej władzy tę taskę ci dały,
Ześ był prowadzon z opaską na oczach
Poprzez tlejące niewyraźnie w mroku
Boga obozy. — Brały cię za ręce
Anioły, stróże wieczorowych zmierzchów,
A potem czaty świtowe, i wreszcie
Te, co zbiegają przestwór bezgraniczny
Bez odpoczynku. I byłeś dopuszczon
Poprzed Obecność i dowód głęboki
Tam usłyszałeś, poznałeś rozległe
Cele i plany, które wiodą świat ten
Z otchłani nędzy na szczyt szczęśliwości.*

ŁAZARZ.

*„Światłość, za którą szedłem drogę całą
Z głębin ciemności, staje się obliczem;
Twojem obliczem, drahu przenajdroższy,
Zdawna mi znamem. Czyż, splótszy ramiona,
Nie wędrowaliśmy spotem, nie błądziłem
Zmierchem po dalekich polnych? A te wargi,
Które-m całowałem tak często, — nie z nichże
Splynął straszliwy ów szept: „Wstań, Łazarzu“?
Bo, gdy padł w ciemność ten dźwięk, nagle świadom*



Improwizacja I. — Wit. Szotarek.

*Przerażających stałem się postaci,
Które w posepnej bezmocy patrzyły
Wzajem na siebie, gdym wstawał z westchnieniem
I mijał tłum ich. O twarzy, co, zda się,
Stworzoną byłaś, by płakać i śmiać się
Jednako z nami wszystkimi; o ręce
Umozolone wśród robót powszednich!
T w e m-że w istocie jest słońce, pod któreś
Mnie znów przywołał, T w e m i-ż są te pola,
Które powoli przed memi oczyma
Z szarości w zieleni mienia się odnowa?
W grobie uczulem Twą moc nieodpartą.
Odpuść, zem ongi mawiał tak swobodnie
I bez przejęcia chadzał przy twym boku.
Czem się to dzieje, że raczysz obcować
Z takimi jak ja, chodzisz, działasz z nami,
Ty, na którego cichy szepc śmierć sama
Płonną, żalostną stała się, poznając
Głos, który niegdyś na światło powołał
Całe stworzenie? Tak bliski-m był miru,
I oto, skruszon, wracam znów do życia,
Morze mi szumi znów, pola się jawią...
Mam-że się skarżyć? Nie wiem, w jakim celu
Mnie przywołałaś, lecz, jeśli tyś tutaj
I zadowolona, żeś jest, czemuż ja nie?"*



Improwizacja II. — Wł. Skotarak.

ZWYCIĘSKIE WYZNANIE

URYWEK Z POEMATU: MARPESSA.

Ze kobiet jest cechą
Sklaniać cię raczej, niżeli zabiegać,
Powiem niewiele. Kocham cię nietylko
Za twoje ciało, spowite w słodczye
Świata całego, tę hojnie kipiącą
Poza brzeg czarę upalnego czerwca,
Ten dzban win ciemnych iskrzący się w słońcu,
Tę z róż najbladszą, pachnącą w noc życia;
Nie za burzliwą twą pierś, obleganą
Przez otępiatych miłośników tłumu,
I nie za pełne zasadzek twe włosy;
Ani za twarz tę, co mogłaby ongi
Wywołać najazd na całe królestwa;
Nie, i nie za tę świeżość twą, co zмага
Mnie niespodzianie, gdyby sen niezwykły.
Nie za to tylko kocham cię — lecz za to,
Żeś się pod skrzydły zległa Nieskończenia;
Żeś pełna szeptów i cieniów. Tyś znakiem

Tego, co morze, w swoich rozręsknionych
Przyptywach, dawno chce rzec brzeżnym skałom.
Tyś tem, co wszystkie przemilczają wiatry
I co noc cicha sercu podszeptuje.
Twój głos jest gęźbą, którą gdzieś słyszałem,
Nim-em się zrodził, jakąś lutnią duchów,
Na jakimś duchów potrącaną morzu.
Twarz twą pamiętam z jakichś innych światów;
Konano za nią, chociaż nie wiem, kiedy.
Opiewano ją, chociaż kędy, nie wiem.
Ma ona dziwność wabiących zachodów
I ciężkich smętkiem widnokręgów morza;
Przy tobie-m świadom innych czasów, krain,
Narodzin w jakichś zapomnianych dobach,
Zywotów całych na gwiazdach dalekich.
O ty, samotna piękności, podobna
Jasnej pochodni w ponurem zamroczu
Świata naszego! Tyś moją boleścią,
Mą jutrznią wczesną, moją gęźbą mrącą!

MIRIAM.

WACŁAW BERENT.

OPOWIEŚĆ RYBAŁTA.



ekarza nie trzeba było szukać daleko, bo, gdy się ściemniło i dobrych chorych nie stało, przeniósł się z przed kościoła ze swemi worami, i w drugiej izbie teżę gospody leczył podlejszy naród. Rad był tedy i on, że go od smrodu tych kalek odciągnięto między weselszych chorych.

Oto ledwie próg przestąpił, roześmiały mu się oczy do pstręgo ludu rybałtów. Wysoko podjął z czoła kołpak.

„Witajcie, mistrze!

„Witaj, dobry lekarzu!”

Obstąpią go kołem zgiekliwem. Kiwa lekarz głową wyrozumiale: wie dobrze, jak srodze alteruje choroba płochy naród igrców; a cóż dopiero zjawienie się osoby tak poważnej, poprzednika księdza z wiatykiem: lekarza. Więc choć nie wiele słyszy w tym gwarze, potakuje wciąż siwą brodą:

„Wiem, wiem, — na pamięć umiem, — co się między rybałty przytrafić może. Pił któryś z mistrzów nad miarę głowy? — i ustrzeżiło! Djabły mu się przed tem zwidywały? — no! Dziewka była w robocie? — oczywiście! Uciekła z heroldem? — bywał wasze kobiety lubią uciekać... Ciężka afektacya serca na pijaną głowę; — niedobrze! Cząłek pijany spokoju szuka pod ławą. Gdzież on? Tam do licha, goliardus sam!... Oo! — pochyla się nad nim, — uciekła?!“...

Lecz, gdy chorego za puls ujął, zrzędła mu mina natychmiast.

„Okna mi wszystkie natychmiast otworzył!.. Worek z nożami przynieś mi któryś co tchu.. Biegaj! Tu mi go dawajcie na ławę, bliżej światła... Chłopy, źle jest.“

Przycichły natychmiast rybałty, jakby makiem posiał. Ten i ów rozsypał się w tłumie.

A lekarz mruzczał w brodę; bardzo mu się nie chciało krajać z wieczora, a i dzień świętego Florjana nie osobliwy na krwi puszczenie. Ale trudno: rzecz nagła! Wyrzucił tedy z wora swoje narzędzia, znalazł nóż potrzebny i wecuje go gniewnie

o kamień. „Garnczek mi tu jak! — mruzczy. „A, jez-deś!“ — postrzega teraz dopiero dziewczkę, która z garnczkiem pod krew i lampką w dłoni już kłęzczała u ławy.

Bilo rude w dymie światło oliwy na rozciągniętą postać goliarda, złocono siwą brodę lekarza i czarny jego kołpak, padało wżwyż na pstrę spiętrzenie rybałtów, którzy powłazili na zydle, ławy i stoły, by patrzeć z biciem serc na tę rzecz srodze poważną: zachorzenie człeczce.

Ljnochód wziął było złą wieść najgłębiej do serca; kroczył ponuro na uboczu i mruzczał do się:

„Czem dla mnie lina w powietrzu, dla niedźwiednika bestya, tem dla poety kobieta. Wielkie niebezpieczeństwo dla ciała i duszy est w sztuce każdej.“

„Prawdę rzekłeś, mistrzu!“ — przytakuje lekarz, oglądając swój nóż pod światło. — „Prawdę rzekłeś! Osobliwie w sztuce lekarskiej, która jest oddawaniem swego dobrego zdrowia niedołączom, a współczującej duszy chrześcijańskiej djabłu bezlitości. Bo w naszej sztuce zbędziesz z czasem litowania wszel...“

Zaciął. Chlusnęła krew i zabulgotała w garnku. „Jezus Marja, zarznął człek!“ — wrzaśnie w tej chwili dziewczka.

A lekarz ją z miejsca w pysk, aż się obali, kłęzcza.

„Czego ryczysz, krowo, kiedy nie ciebie rzną?! Trzymajże tam który garnczek, bo nas tu wszystkich zabluzga.“

Nie wytrzymał na sobie widoku krwi nierycerski naród rybałtów. Porozlazilo się bractwo po izbie, a w gawędach odwodzi usilnie myśli od przykrego widoku.

„A wszystko to sprawiła ona suknia z „nędzy“. Oh te stroje kobiece! Ciekawość, który to właściwie tak się na nią wykosztował?“ — rzucił jeden z nich pytanie.

I zakotłowało się nagle wśród wagantów; poczną poziierać podejrzliwie jeden na drugiego, aż cisza tego pytania zawiśnie w powietrzu.

Niedźwiednik skrobał się frasośliwie w swój lniany łeb. Obsiadły go rybałty jak te osy.

„Ty, niedźwiedziu kłiwy! Uwaz: tyżes ją na tęskliwości swoje pięknie obłoczył, tem ci milej inny

ją teraz rozdziwia, — akuratnie jak w małżeństwie. I nie dość że ci było jednej bestyi? Pół świata z onemi szmatami schodził, nim ją gdzie znowu w jakiej bandzie igrców odnalazł.“

Lekarz przy chorym zaciekawił się bardzo, o czemże to rozgwarzyły się tak rybałty. I nagle zamacha ręką.

„El e! e! — jednemu ona Muza, drugiemu kochanką, trzeci ją aż w suknię stroi, czwarty na nockę zabiera, dziewiąty pewnie mężem być się szczydzi, a jedenasty wiesza się z desperacyi, że go poniechała nawrotem do dziesiątego. El e! e! — tego i święty Piotr na Sądzie Ostatecznym nie rozwikła, by każdą duszę z osobna za jej przewiny zważyć. Więc w księgę niebieską zapisze w desperacyi ryczałtem: robota jednej kobiety wśród rybałtów, — pięćdziesiąt dusz potępionych!.. To nie śmiechy! Znaczy to, że dola wasza ziemską i w wieczność za wami pójdzie: że i w piekle nawet żaden z was sam sobą, — jak inne dusze grzeszne, — nic znaczyć nie może, lecz w jeden snop związanych, przerzucać was będzie djabeł widłami, — jak i w doczesności waszej, jak owo i teraz, na ziemi.“

Nudził się lekarz przy pulsie chorego, więc po chwili znów ich zaczepia rozmową:

„No, jakże rybałty, wyklóciliście do końca wasze swary: która sztuka, i czyją, Bogu i ludziom miłsza?.. Nie dawajcież się, kugłce, zawsze w tych sprzeczkach ciche!“

Ale przerwie mu tę gawędę lament dziewczki u kolan.

„Dosyć już tej krwi, dobry lekarzu! Na Miłosierdzie Boskie, dosyć! Baczcież, już się goliard ruchu!“

„Zaprawdę, już się ruszać poczynal.. Tylko czem ją go obwiążę? — począł się obzierać naokół. — Gieźło swoje zawsze przyniosłaś? No, toć się chwalił Sąd i pocziwie na świecie.“

Imał się tedy tłumić krew ostremi prochy i korneimi, zacierać ranę chlebem z pajęczyną i omotywać szyję chorego szmatami z koszuli. A przy tej robocie spoziera zezem na grubą dziewczkę i tak do niej gwarzy:

„Przytrafiają się i pocziwie na świecie, — osobliwie wśród otyłych. I ta, niesyta żołnierzy, matrona z Efezu, także dobra była! Im ogromniejsze w was one tęskliwości cielesne, tem się z macierzyństwa żądzą żarliwiej w sercu waszem płaczą, — że gotowście zawczas matkować światu całemu. Najlepsze są, które rade i łatwo rodzą: wiedzą o tem lekarze. Które zaś ciężko, cierpkie bywają i samolubne z natury swojej, — dla międnic wąskości. Najgorsze zaś jałowe. Te są niuchem i veneris zawsze niespokojne, zradne i bodliwe: o tem wiedzą i pastuchy.

Tak to było i dobro wasze, kobiece, nie w duszy, jak u nas. Stąd wątpienie stare, czy macie ona i czy możecie być zbawione.“

Opatruje lekarz chorego. Dziewka kłęczy wciąż na ziemi z garnczkiem krwi w jednej ręce, a z lampką w drugiej i słucha oczyma i gębą jak też to człek uczony nad nią prawi. W dymnem świetle oliwy zda się twarz goliarda jak wśród kadzielnicy okrzepła i żółta jak na katafalku. Gromadzą się znowuż naokół rybałty, włożą na zydlę, ławy i stoły, by pojrzeć na on cud sztuki leczenia: na wydartego śmierci czleka. Słychać było i pochlebstwa żaków:

„Doctor miraculosus!“ — szepczą w tłumie.

A te ich szepty w rozzwar podziwu zamieniły się nagle, gdy goliard, przysiadłszy na ławie, zażądał kęsa chleba, — kto po chleb siega, ziemi się chwytą. Tylko widok potem towarzysza, jak oto żuje smutnie kromczynę jakowąś bez okraszy, a i nuży się co chwila przy tej robocie dziecka, — dziwny obraz zanękania i bezradności życiowej, — goryczą i żalem wypełniły serca kamratów. Obsiądą go kołem, każdy wtyka mu jaki kęs z sakwy, proszą, by się dobrą myśłą całkiem ozdrowił. Nie dziw, że mu wino tak rychło uderzyło do głowy, skoro je wlewał w puste kiszki. Dziewka już tam warzy dla niego na żużlach komina polewkę krzepiącą. Żonglerzy tymczasem, jako towarzysze najważniejsi, przysiedli się doń na ławie i skrzepiają słowem — żyć winien, potrzebna ludziom sztuka jego.

„Komu?“ — pyta goliard z gębą pełną chleba.

„Choćby kamratom wszystkim. Żaki jak mlekiem żywią się nią. Wszystkie gęśle towarzyszy ton jego wszak stroi. Na nic i powieść każda, której nie przoduje ton poezyi.“

Dziewka, tymczasem podnosi mu do ust łyżkę polewki z garnczka.

„Na!“

„Bóg zapł!.. Dobra!“ — uśmiechnie się szeroko za pierwszym zaraz łykiem.

Co widząc, lekarz, wskazał go wszem wobec jako dzieło sztuki swojej. —

Tylko linochód kroczy jak bocian po izbie. Śmierć już po raz drugi tego wieczora przewiała nad gromadą, jemu jakby na złą wróżbę i przestrożę, by zawczas szukał doczesnego i wiecznego bezpieczeństwa w klasztorze.

Jutro będzie znów zawisał nad wieżami grodu jakiego, tyle mając dla się oparcia, co tej liny pod stopą. Dołem huczyć będzie gawiedź i strzelać w górę conceptami. A śmierć płasząc znów pocznie tuż za nim po linie i naszeptywać w ucho:.. „Posłuchaj, jak klaszczą. Spójrzcie na dół, uśmiechnij się, ręką

skiań, ich przymówki konceptem odparuj: na bankach lubią przymizgi takie, w ich oczach lekkości nada to kunsztowi twemu. Gdy tego zaniechasz, lubi cię mimo wszystko nie będą; a gdy skończysz swoje, pies się o ciebie nie zatroska... Nie chcesz? Wolisz swą sztukę w powadze czynić?... Zatoż tedy okiem wkolo: pod tobą miasto całe! Nie chwyta cię zawrót nad tem, na coś się znówu ważył?... Nie śmiesz nawet patrzeć?... Więc poza siebie obejrzyj się czempredzej, bo kochanie tve, w życiu niegdyś najmocniejsze, tu cię dogania, po linie, pewnie w złych przeczuć lęku, by cię pożegnać w tej chwili może ostat... Słysz, ten huragan oklasków! — za to, żeś się zachwiał tak okrutnie, a nie zleciał przecie; że znów suniesz dalej z oczyma utkwionemi w dal...“ — „W imię Ojca, Syna i Duchala. Ni pod się, ni od się, ni po za się; a tylko przed siebie, przed siebie wciaż! — ku tamtej wieży, — gdzie cel!..“ — „Spadasz?!.. Leć, na łeb na szyję!“

A tu śmieć, przewiawszy wróżbą i pogrozą nad płochemi głowami tych igrców wszystkich, nie grozę zostawiła po sobie, lecz oto jakby większe jeszcze ciepło i przytulność wśród nich. Zadomowienie dobre ogarnia nawet tych wagantów w gospodzie przydrożnej. Chce djabek, byśmy kochali życie całą przytulnością serc naszych.

Żaś to lgnienie do chwili by najlichszego istnienia tak wypełnia piwnicę całą, że owo i ten zapach beczki a wyszynku jakoweś macierzyste ma w sobie wonie: rzekniesz lono spokoju i wytchnienia. Owiało to zda się nawet te kury na dymniku. Ocknie się raz po raz któraś z nich, strzepnie piórami strzyknie na izbę i, rozepchnawszy sąsiadki, usadza się lubo na zdrzemanie, otuchy pełne. Tam zaś, w złoty blasku oliwnicy, rozgwarzyli się ludzie: serdeczne, rzewliwe głosy w przerywanej wciąż gawędzie i ciszy, — jak to przy chorym, gdy się lęki w nadzieję obróca: — tak gwarzy rada otucha człeczka. Ledwie śmieć skrzydłem swoim musnęła izbę, — myśli melancholik, — a tu stworzenie każde zatula się ufnie w to ciepło życia, którego jutro może już nie będzie.

„Strzeż nas Panie ode złego.“

Lekarz był rad z uzdrowienia goliarda, a i polecthan pochlebstwem żaków. Uśmiechały mu się oczki nad siwą brodą i zacierały ręce, gdy krażył teraz koło pustych stołów, zaglądając durniemi we wszystkie dzbany.

„Stagwi sześć, jak w Kanie galilejskiej.“

Dostrzeże to dziewczka i już z krząją a czarką biegnie od beczki.

„Znowuż ty! — uszczypnie ją lekarz w policzek. — Ty jedynie pomyślałaś nad tem, co się należy utrudzonemu. Należy poczwia ręką. Ze wszystkich kobiet tego miasta ty jedyna pokarmiłaś wędrownego poetę. Tego ci święty Julian, patron wędrownych, nie zapomni w życiu... W twoje dobre oczy! — (przepił). — Należy i drugi raz. A goliard niech ci się wierszem wywdzięczy: szczęście w miłości przynosi wiersz poety, gdy komu przypisany... W twojej.. Możesz nalać i trzecią. Gdybym miał syna, szepnąłbym wyrostkowi o tobie. Przy innych zładaczy może łatwo i na waganty zejść, zaś na takich pierśiach — (kładł jej rękę na tej dyni), — jak na łonie matki ziemi, uczyłowiec się tylko młodzieniec i tą się myślą zawczas ustateczni, że my chwilą, a trwaniem syny, wnuki...“

Tę jej perorę powiedziawszy nad piersią obfiat, wyjął jej dzban z rąk. „Odejdź, odejdź lepiej, bo, stary, przy winie lubię Oceanidy takie!“

„Hu, jak grzeje od tego pieca!.. A wiecie, chłopcy, — wołał do rybałtów, nalewając sobie następna czarke, — wiecie czemu taka przytulność i zadowolenie w dobrej gawędzie ogarnęły was zagnała w tej izbie? Sprawił to onego łona wiew na izbę całą. A uura femina e!.. A właśnie waganty, którym jej brak najcześnie, tak jej mocno ulegają i bez wiedzy dla się. Gdyby wszystkie były jak ona, nie byłoby wcale wagantów na świecie. Każdy by gdzieś przylgnał, gdzieś zażył i rozmnożył się jak ten Abraham.“

A wśród śmiechu rybałtów, małe oczki jego z nad brody baczą wciąż na dziewczynę.

„Darmo ty się za tym gęślazem wciąż ogładasz, — odgadł wraz swoje. — Jemu ani ty, ani żadna inna w głowie pogodnej. Im pogodniejsza myśl, tem wolniejsze serce, a ciało przy kobiecie wróbelkiem wtedy: dla ciebie to na nic!.. I upodobał sobie taki ogrom baby chudzinę mizerna, którą trzepie po zadzie, niczem dziecko swoje. Choć taki dziś jeszcze w światy pójdzie, a nigdy może już tu nie wróc; nie zbrakłoby, widzę, mleka synowi jego, — ani pracy rąk twoich robotnych, myślę, — ani pazurów ku dziecku obronie... Nie becz!“

Aż jej głowę do się przytulał: „No, nie rycz, nie rycz, sieroto! narodzisz się dosyć w życiu: — napłodzisz potomstwa, jak dynia pestek.“

Na stojący załatwiał się lekarz ze dzbanem. Za każdą tylko czwartą obracał się do najbliższego z rybałtów i klepał go po ramieniu. Uśmiechali się doń wszyscy, rozumiejąc, że człek to pogodny, który lubi ludzi. Dajże mu Boże jaknajdłuższe zdrowie!

Wyświecały się po tych czarkach policzki staro, gdy coraz to żwawiej igrały myśli w oczkach stulonych.

„Szkoda, że tę skoczkę waszą już djabeł porwał! Chętnie bym z nią tu pogwarzył. Mądra musiała to być kobieta! Prawdę powiedziała ona wczoraj na ulicy: nie masz między wami ostatnich!... Niejeden skoczek, bywa, w żarliwej chwili ukochania igrę swej, ptakiem się poczuje, skrzydeł u ramion przed Bogiem i ludźmi dostaje. A toć jest wszystko! Jedna jest boska igrza z ciężkim smętem życia... Bo zważcie: iluż to żonglerów duch skrzepiał ci ała na boje rycerskie?! A i iluż to skoczków i wesółków swawola podbijała ciężkiego w osmętnieniu ducha na drogi żwawsze?! Lekarz wam mówię: zmorzy świata, Acedyi wy pogromce! Smutek nierządny połową ludzkości piekłoby zaludnił; — chytry jest tedy jej obrachunek, by was, nieliczne życia orędowniki, na swe miejsce tam wysłać. Djabeł ma być tak oszukany, bo za połowę człowieczeństwa, która mu z prawa zawsze należy, was tylko dostanie. — i to w jednym snopie: — nie bardzo się tem naciesz.”

Koło rozpromienionych twarzy otoczyło lekarza.

„Co więcej wam rzekę, chłopcy: na wdzięczność przez was dusznie uleczonych nie liczcie! Lekarz wam mówię. Gdy na nich zstąpią życia trwogi i nędze, pierwsi potępić was będą... Ot, jak wy tę panią Muzę waszą, którąście, słyszę, w kominie wieszac chcieli.”

Na twarzach rybałtów odbiło się nagłe skłócenie niepokoju. Tylko te żaczki, sumieniem płocze, a uwaga czujne jak szpaki na to jedno słowo: „Muza,” — zakłępią się wzraz koło lekarza.

Prawdę jest, co o skoczce powiada! Panią tu ona pośród nich była. Przez nią i skoczki wyżej skakali, i piszczki bardziej cienie wyciągali nuty, a hućniej w bębny swe bilil! I niedźwiednik dla jej pochwały tak groźnie ze swą bestią poczynał, że nie mieli widze. I linochoda, gdy w ostatniej chwili truchlał, bywało, o nierozgrzeszoną duszę, ona wpędzała pogardą na linę między wieżami. A żonglerzy? Niech ją ujrzą tylko w krasie nowej szatki, a płótno zgrzebne na jej piersiach bisiorem dla nich się staje, „nędza” złotogłowiem: rozslawia w opowieści ten jej strój, roztekąnią ku niemu kobiety. (Od dziś, na przykład, gdy rzecz się stała wiadoma, każda tylko o sukni roić będzie).

Na tę pochwałę zerwie się nagłe niedźwiednik z pod pieca:

„A wyście to, wyście wieszac ją chcieli!” — krzyknie nietyle gębą, ile tym kulakiem podstawionym pod nos linochodowi.

Zagarnie lekarz ten kulak i trzyma w swym dla uspokojenia.

„Owóż tak jest i z igrzą waszą pośród ludzi. — zwróci się do rybałtów. — Raz po raz wieszac ją

chęć u kremów lub pieców... I dziwić się im, gdyście to sami uczynić chcieli z igrzy waszej panią!... A jeśli ona, — jak zaprawdę myślę, — czarownica była?”

Tu już w ruchach rybałtów odbiła się ponura niepewność; otwierały się usta, nie wiedzące, co rzec. I tak milczało wszystko w frasobliwości sumień.

A i sam lekarz wgaądał się w gorliwość. Choć przycichły na chwilę, kroczy po izbie, z rękami w tyle splecionemi, błyska przenikliwym okiem na waganty.

Wreszcie staje przed nimi. Każdy czuje, że rzuci w tej chwili słowo na hazard, jak kości.

„A że was tak zło samo przez igrę z życiem ku wyzwoleniu serc człecznych wieździe, a dusz ich odkupieniu z piekieł, — tego wam żaden klerk rzymskiego kościoła nie wytłómaczy. Bo nie wyzna Bóg ciół rzymski, że zło światem rządzi, jako że zły Bóg go stworzył. Dobry Bóg w niebie mieszka i ku niemu nasze tęsknoty. Ale działania nasze na ziemi ziemską stoją podniętą, pokusą i pchnięciem: — nie z niebieskich krynic pijemy życia ochoczość... A kto wszystkiemu złu uchylić się pragnie, bierze na się najcięższe jego brzemie: — smutek nierządny!”

Pojrzawszy na ludzi, strzymał słowa swoje i jął znów kroczyć po izbie. Odprowadzają go tam i sam nazbyt już podejrzliwe oczy rybałtów, baczące na ruch jego każdy.

Aż się zmieszał stary.

„Podejmcież goliarda z ławy. Niechże rzeknie co, gdy już gadać zdoła.”

Lecz on już się sam podźwignął było w zasłuchaniu, — o żaków dusze był goliard zawsze bardzo zazdrosny. — Rozpoczął wszakże nie od tego o co go tu nagabywano. Głos zaś miał zrazu bardzo słaby:

„Niedobrzem czynił, narzuciwszy się wczoraj na rycerzy. Nie o kęs lepszej doli i ludzkiego uważania oszczekiwać mi się było na rynku, jak temu psu o gnat... Dotknij, lekarzu, piersi: zbyła dawnej gorącości, dla której wszystko z życia było owo — psim gnatem ledwie, bo substancyi dla się szukała tam!”

Wyrzucił ramię w górę, jak ten mnich na kazalnicy.

Stropił ten gest srogi żaków; ku niemu kierują teraz swe oczy. A on zbliżając się ku nim, targa na sobie płaszcz i szatę, — wystawia pierś naga jak ten pokutnik przed ołtarzem:

„Czuję, zbyła dawnej gorącości w łaknieniu! Stygnie w niej on płomień dążenia ku rzeczom, które są z ducha!... Za was to, — zaki! — pierś swoją lekarzowi wystawiam, skoro nas tu nowemi nauki zleczyć pragnie. I jakież to użyźnień moce? jakie sokki? jakie skrzepienia obiecuje on jabłonkom dusz

waszch młodych, by przedsię nie zakończyły na okwiecie? Wiary-ż to kielich przychyła wam do ust? Dumy-ż to skrzydła przypina wam do ramion? Wzwyż porywa? — nad te śmietniki i gnaty, jakie jeno zostawili nam ludzie w życiu... Inny on tu z diabłem uradził dla was lek. Chcesz go spróbować który? Na zapalu stygnięcie w piersiach — zaleca o to życia zło? — za gryzącą kauterię na serce?!“

To spadło już na głowy żaków jakby z kulaka pokutnego kaznodziei. I spłoszyło ich całkiem. Już nie oczy, a dusze młode kierują się za goliardem.

Co widząc lekarz, czempredziej zlekceważyć stara się go przed nimi. „Chociażes ty dysputacyi artysta, widzę, i od paryskich może mistrzów, spróbuję ja się jednak i z tobą“, — myśli. Więc rzecze z umysłu niedbale:

„Gryzie cię, mistrzu, nade wszystko sumienia nęka za to wszystko, czegoś zaznał przy skoczce. Tylko że z nim do żadnego udziałania w życiu nie dojdiesz, ledwie pod klasztor się wlewczesz. Moja zaś troska, lekarza, o życie. Od ciebie ledwie śmierć przepędził, z grobu mi gadasz... Baczcie: gdy ty się tu z panią śmiercią na ławie pieścisz, na ulicy przed gospodą zebrało się już kilku z Acedyi dziś uleczonych. Na ich czele murarz kościołów, a mistrz kamieni żywych, czeka tam z worem swych narzędzi. I ja tu, lekarz, z wami. Zgłoś, cały nasz *ordo vagorum* zbierze się do świtu.“

I, wmiast kulaka mniszych pokajana, rozwarła dłoń wesela wystawi przed żaki:

„Pójdziemy waganaty za naszym przeznaczeniem szukać *corde jucundo*, co w smutkach wciąż gubią osiadli! — Po za życia radością coby to było, powiedzcie mi, towarzysze? Czegóż to szuka po świecie nasz *ordo*?... Śpiewał nam tenże goliard, gdy mu zło bodaj gorętszą krew czyniło, — śpiewał nam:

„In secta nostra scriptum est: — *Probate omnia!*“ —

To znaczy: bierzcie w pierś ochoczą wszystko, cokolwiek życie niesie, dobrą i zło społecem, — i na wszystko się wzięcie lekkością ciała i ducha wolnego! Owóż i skrzydło zapalu, które porwie za sobą chmury wszystkie z życia skał, aż pociągnie za wami i rozum rozumnych i roztropność roztropanych. Bo i do onych ociążalców roztropności, do doktorów a wnikaczy w świata tajemki, zwraca się goliardowe słowo — nad wszystko, co z ksiąg wiedzieć możecie, nad Aristotelesy i Tomasz, do oświadczenia wszystkiego, wnikajcie we wszystko, na wszystko się wzięcie zuchwałością ducha wolnego!.. Może tak syczał niegdys wąż Adamowy z drzewa wiadomości złego i do-

bręgo? Może my prawdziwie zła i dobra *sacerdotes ambulantes*? Bo, acz waganaty, my to wszak budujemy osiadłym ich kościoły! by kościelnych wież okapy zaludnić naszych sumień przerażami! A jeśli na kajanie się przyjdzie, wonczas pieśń nasza — z przedsieni — huraganem wdziera się do kościoła i wstrząsa kolumnami naw wszystkich! — z goliardów to wszak gęś! zerwał się ten świata krzyk, który wstrząsa kościołami: *Dies irae!*..“

Ni ten łan młody rozchwiały się żaków głowy pod mocnym podmuchem ducha. Wobec czego lekarz, stary snadź gracz na duszach, wziął z umysłu ton spokojniejszy:

„My to znosimy osiadłym nowe moce ziół i kamieni, nowych wiar nauki, nową gędzbę i powieści nowe: — ducha wici nieustanne, — a nade wszystko (igrce, nie masz między wami ostatnich), nade wszystko — rybałtową igrę z smętem życia!.. Gdy osiadli murami grodów odgraniczają się od świata, dążymy, waganaty, zawsze w światy nieznanne: Chronosowi chyba samemu naprzeciw... Może nas waganctwa grzechy zasłużenie kiedyś w piekło strąca; ale to pewna, że tęsknotom i dążeniom osiadłych tędy droga, i po naszych grobach, kędy my je targniemy za życia!..“

Tu już szal porwał żaki.

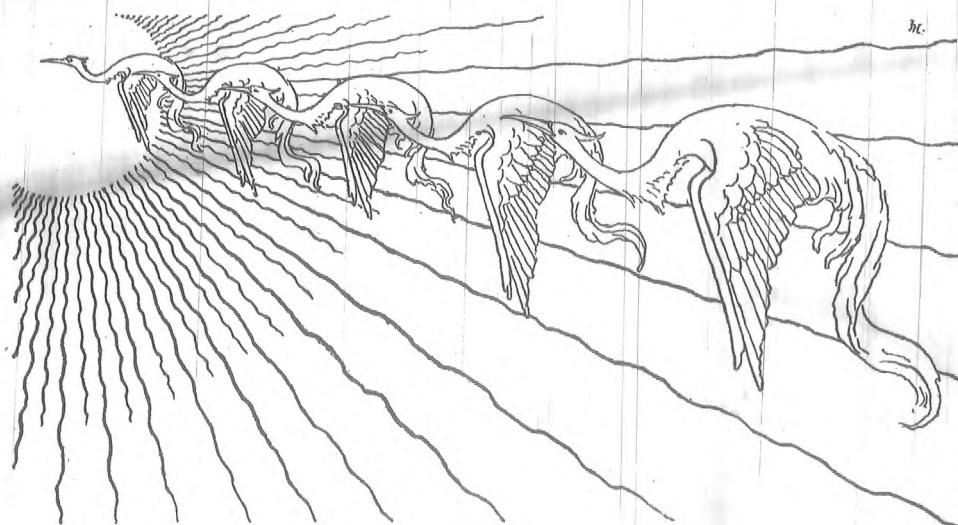
„*Doctor admirabilis!*“ — hukną z młodych piersi.

I rzucą się ku temu nauczycielowi, porwą na ramiona. Któryś z nich puhar czempredziej napelnil i wetknął mu go w rękę.

„Waganaty! włokity! wszędybyły! — bryzga winem na te głowy młode, — tyle w nas *ordinis*, tyle sekty, co w tym kluczu zórawi, podążającym na wyraj ku wiosnie. Jeśli złe wichry zmiotną nas w morze, na te fale czasów, bijące wciąż i wciąż o brzegi życia, — to i wonczas jeszcze, i w tem tonieniu, okrzyknijemy się wiosnom zawołaniem naszym: — *Bacchell!*..“

Dudni piwnica od wiewatów młodzieży; obalają się wszędy stolki i ławy pod natłokiem zapalów.

Zwyciężył lekarz w dysputacyi. Nad pstrym tłumem waganatów kołysała się siwa broda i czarny kółpak uczonego. A gdy go tak po izbie obnoszą, stargnął się w tym zamecie płaszcz z jego ramion. Li nochód ujrzy z przerażeniem, że lekarz ma na grzbiecie szaty — w zamię kary kościelnej i ku przestrodze przed pętnowaniem — żółtą łatę kacerstwa.



OGRODNIK

RABINDRANATH TAGORE.
Z ANGIELSKIEGO PRZEKŁADU AUTORA SPOLSZCZYŁ
JAN KASPROWICZ.

CHODŹ TAK, JAK JESTEŚ. Nie zaprzataj się strojem.
Czy rozplotły się włosy splecione, czy w nieporządku ich rozdział
nie wygładzony twój stanik, ty na to nie zważaj.
Chodźże szybkimi krokami po trawie.

Widzisz, jak się na niebie kłębią obłoki?
Klucze żorawi nadciągają od dalekich brzegów rzeki i wiatru
napór gwałtowny rzuca się na wrzosiska.
Przeżalone stado ucieka do wsi, do obór.
Widzisz, jak się na niebie kłębią obłoki?
Daremnie zapalasz lampę na stole — migoce i gaśnie na
wietrze.
Któż zauważy, iż sadzą nie poczerniłaś powiek?
Oczy twe ciemniejsze od chmur deszczowych.
Daremnie zapalasz lampę na stole — zagasa.

Chodź tak, jak jesteś, nie zaprzataj się strojem.
Nie spleciona wiązanka na włosy, cóż z tego? Nie zamknięty
łańcuch u dłoni, niech będzie!
Niebo zakryte chmurami, jest późno.
Chodź tak, jak jesteś, nie zaprzataj się strojem.

CHCESZ-LI BYĆ PILNĄ i dzban swój napełnić, chodź, o chodź do mego jeziora.

Woda obejmie twe stopy i wyszemrze ci swą tajemnicę.
Cień nadchodzącego deszczu kładzie się na piasku, obłoki zawisły nad błękitnym liściwem drzew, jak ciężki włos nad twemi rzęsami.
Znam dobrze rytm twoich kroków, uderza o moje serce.
Chodź, o chodź do mego jeziora, jeżeli napełnić musisz swój dzban.

Pragniesz-li wczasu, pragniesz bezmyślnie spoczywać i dzban swój puszczać na wodę, chodź, o chodź do mego jeziora.

Zieleni się zбочe trawiaste i kwiatów dzikich bez miary.
Myśli ulatywać będą z oczu twych ciemnych, jak ptactwo z swych gniazd.

Welon twój opadnie ci do stóp.

Chodź, o chodź do mego jeziora, jeżeli użyć chcesz wczasu.

Gdy dość mieć będziesz zabawy i zechcesz zanurzyć się w wodzie, chodź, o chodź do mego jeziora.

Plaszcz błękitny pozostaw na brzegu, woda błękitna zakryje cię i osłoni.

Fale staną na palcach, aby całować twą szyję i by ci szeptać do uszu.

Chodź, o chodź do mego jeziora, jeżeli chcesz się zanurzyć we wodzie.

Jeśli ci trzeba oszaleć i rzucić się w śmierci objęcia, chodź, o chodź do mego jeziora.

Chłodne-ci ono i bezdennie głębokie.

Ciemne, jak sen bez snów.

W głębiach jego dzień i noc zlewają się w jedno, a pieśni są milczeniem.

Chodź, o chodź do mego jeziora, jeśli chcesz rzucić się w śmierć.

O NIC NIE PROSIŁEM, stałem tylko na skraju lasu, za drzewem.
Tęsknica drzemała wciąż jeszcze w źrenicach świtu i rosa była w powietrzu.

Ospały zapach traw wilgotnych wisiał w cienkiej mgłę ponad ziemią.
Widziałem cię pod drzewem figowym dojącą krowę rękami, delikatnymi i świeżymi, jak masło.

I przystanąłem, oniesmielony.

Nie rzekłem ni słowa. Ptak niewidzialny nucił w gęstwinie.
Drzewo mangi sypało kwiecie na drogę wiejską i pszczoły, jedna za drugą, poczęły nadpływać z pobrzękiem.

Tam, po za stawem, otwarto bramę świątyni Sziwy i tłum poboż-
nych rozpoczął śpiewać swe pieśni.
Z wiadrem na łonie dołaś krowę.
Ja wciąż jeszcze z próżnym stałem dzbanem.

Nie zbliżyłem się k'tobie.
Niebo obudził dźwięk gonga świątyni.
Z pod racic pędzonego stada kurz się podnosił na drodze.
Z bełkocącemi krużami u biodr nadchodziły kobiety od rzeki.
Naramienniki twoje brzęczały i dzban twój okrył się pianą.
Minęło rano, a jam się nie zbliżył do ciebie.

PRZECHADZAŁEM SIĘ DROGĄ, nie wiem, dla czego, kiedy
mijało południe, a gałęzie bambusu szeleściły na wietrze.
Opadające cienie wyciągniętymi ramiony czepiały się stóp ucho-
dzącego światła.
Kukułki zamęczały się śpiewem.
Przechadzałem się drogą, nie wiem dla czego.

Chata przy drodze stoi w cieniu chylącego się nad nią drzewa.
Jakaś niewiasta zajęta jest pracą, a w kącie pobrzękuje muzyka
jej naramiennic.
Stałem przed tą chatą, sam nie wiem, dla czego.
Wążka, wijąca się droga przecina niejedno pole gorczyczne i nie-
jeden gaj mangowy.
Snuje się obok świątyni wiejskiej przy ładunkowym placu rzeki.
Stałem przed tą chatą, sam nie wiem, dla czego.

Było to przed laty w wietrznym dniu marca, gdy poszept wiosny
gubił się w tęsknicy, a kwiecie manga padało w pył.
Sfalowana woda lizała w podskokach kruż miedzianą, stojącą
na stopniach ładunkowego placu.
Myślę o tym dniu wietrznego marca, sam nie wiem, dla czego.

Pogłębiły się cienie i stado wracało do obór.
Światło poszarzało na łąkach samotnych, wieśniacy czekali na
prom u wybrzeża.
Powoli wracałem drogą, sam nie wiem, dla czego.

PĘDZĘ, JAK PĘDZI PIŻMOWIEC po lesie, własnym odurzony
zapachem.
Noc jest nocą połowy maja, powiew jest powiewem południa.
Gubię drogę i idę, szukam, czego znaleźć nie mogę, znajduję,
czego nie szukam.

Z serca mego wybiega i tańczy obraz własnej mej żądy.
 Rozplywa się widziadło świetlane.
 Staram się je zatrzymać, wymyka mi się i zwodzi.
 Szukam, czego znaleźć nie mogę, znajduję, czego nie szukam.

DŁONIE SPLATAJĄ SIĘ Z DŁONMI, oczy wieszają się na oczach, tak rozpoczynają się dzieje serc naszych.

Miesięczna noc marcowa; powietrze przesycone słodką wonią henny.¹⁾

Fletnia ma leży na ziemi beczynnienie, a twa wiązanka niedokończona.
 Miłość ta między tobą a mną prosta jest, jak pieśń.

* * *

Szafranowa zasłona twa upaja me oczy.

Wieniec jaśminowy, któryś spłóła dla mnie, napełnia drzeniem me serce, jak pochwała.

Gra to dawania i wyrzekania się, oddawania i ponownego skrywania, nieco uśmiechów nieco delikatnej nieśmiałości i nieco miłych, bezpożytecznych sporów.

Miłość ta pomiędzy tobą a mną prosta jest, jak pieśń.

* * *

Żadnej tajemnicy, wybiegającej po za terażniejszość, żadnej walki o sprawy niemożliwe, żaden cień po za wdziękiem, żadne błąkanie się w głębiach ciemności.

Miłość ta pomiędzy tobą a mną prosta jest, jak pieśń.

* * *

Nie uciekamy od żadnych słów w wieczyste milczenie, w pustkę nie wyciągamy rąk po rzeczy, leżące po za nadzieją.

Wystarczy nam, co dajemy i co otrzymujemy.

Radości nie wyniszczyliśmy do ostatka, ażeby wytłoczyć z niej wino cierpienia.

Miłość ta między nami prosta jest, jak pieśń.

¹⁾ Lawsonia inermis, roślina, której sok różowy używany bywa do zabarwiania dłoni i pięt.

(C. D. N.)



CYKL SONETÓW.

I.

Niech się ta krew, co mi dużką oczadza,
Zapali jedną pochodnią purpury,
Niechaj rozwali przetrzasałe mury,
Aż w proch spopieli się przesądów władza.

I jednym wielkim płamieniem do góry
Wystrzeli w szczyty, łańcuchy rozadza,
Niech runie z hukiem, co wali zawadza
I się zerwane przetlą więzów chmury.

Jak potwór stacza się z skalistych zboczy
I żenie drzazgi przed sobą i glazy,
Tak szal niech rozum na miazgę ubroczy.

I nie dba o to, gdzie rozdzieli razy.
Niech się opije i ducha zamroczy
I leci ślepy — płomieniem zarazy.

II.

I wtedy może w żarzącym oddechu
Wypłuję wszystkie z mej duszy osady,
Co w krwi się wiją, jak obślizgłe gady,
I jej wypalę w jednym wielkim grzechu.

A czad zmielony na żużli opady
W świszczącym dymów i płomieni śmiechu
Rozprysnie w kurz się, jak w kuźnicy z miechu
Iskry — i skończy podsycanie zwady.

Lecz się przerażam, iż po huraganie
Zobaczę zimne zgliszcząca i popioły,
I że pozatem nic już nie zostanie.

I uraglinie śmieją się chochoły,
Że po tym ogniu tylko zmartwychwstanie
Bezkrwiasta mara, puste ozdoby.

III.

Lecz widzę przytem, że nie jestem szczerzy,
Jak każdy człowiek, i prawdę kaleczę,
Oddając w słów ją złą, fałszywą pieczę,
A ona drogą mknie krętą — litery.

I nawet siebie z fałszu nie wyleczę,
Chociaż natchnienie, jak złote ogiery
Niesie i zlewa mi się na — papierzy,
A z linii zgrzyta fałsz duszy człowięcej.

Bo grzechy tylko dla nas żądzy warte
Są, i do życia gnają nas jak biczem,
I przedstawiamy bez nich — białą kartę.

I bez tych grzechów życie dla nas — nieczem,
Choć w niebo czoło unosząc wytarte
Pragniemy dobra — przed obłudy zniczem.

IV.

Ja wam te znicze, obłudni, pokażę,
Chociaż kryjecie je w cieniu skwapliwie,
Tak dobrze nieraz, iż wiara w nas żywie,
Że nie gorąją dla kłamstwa ołtarze.

A one trwają w nas zawsze prawdziwie,
I choć zdumione obnosicie twarze,
Tajemny przestrach w zdumieniu się maże,
Iż w serce zarzę — i zadrzę w podziwicie.

O, wściecie miedrzy! Wyborne ukrycie,
Tak trudno spojrzeć w serce człowieka można,
Więc tam obłudzie znicz wzniećcie życie.

Tam lepki uśmiech chytra i ostrożna
Do warg przykleja. Zerwz z was pozycie
Kłamstwa, — ale się waha ręka — trwożna!

V.

Bo rwie mi duszę ból coraz gorętszy,
Że w sercu ludzkim tylko węzowiska,
I na ulamki szklane złuda pryśka,
I próżno przed nią ma nadzieja klęczy.

I nie dozwala rozpaść się w zwaliaka,
Ulamki pęta w słaby kit obrzęcy,
Więc się cnotatni sen przed prawdę piętrzy,
Chociaż ma ręka obrzęcy tak biała,

Iż starczy dotknąć. Nie straszą mnie syki,
Jakie podniosą tych ołtarzy stróże,
Gdy rozdwojone wysuną języki.

Ale mi rojeń żal, więc oczy mrużę,
Łowięc kłamliwe uwielbień okrzyki
Ludzi, pełniących na cześć prawdy — krusze.

VI.

Oto nieprawda, że nie wie, co czyni
Lud, który swoje krzyżuje proroki,
I krzyżę wznosi na górzyście stoki,
Żeby kazali dalej — na pustyni.

Bo każde prawdy nowej prąd szeroki
Oświeca bagno w serce tajnej jaskini,
Przeto człek — światło za swą podłość wini,
I zasypuje źródlane potoki.

Wiedząc, że tylko do nowej obłudy
Pchnie każdy promień, a ludzie zmęczeni
Wypocząć pragną, zamiast nowe złudy

Tworzyć, — więc śliną gniew im wargi pieni,
I ubijają tych, co złote rudy
Wykopiają dobra, — dla noey i cieni.

VII.

Ale się przyznać wy podli boicie,
 Że grzech wam tylko pożądaną godzinę,
 Więc maskę na twarz zawieszacie co dzień
 Z godłem, że cnotę się ceni nad życie.

A kiedy dumnie zdejmie ją przechodzień,
 To oburzenie wasze grzmi w błękiecie,
 Że pokalania bóstwa nie znosicie,
 I że na karę zasługuje — zbrodzień!

Więc za odwagę zła — śmiercią się płaci,
 I za pochodnie światła płacą — krzyże,
 I widzę w świętych i złoczyńcach — braci,

Ku którym w zgodnym, rozwścieczonym wirze
 Biję gniew zwykłych, obłudnych postaci.
 Gdy przeszkodzono im — żyć z kłamstwem w mirze.

VIII.

O, ja was kocham, zbrodniarze i święci,
 Was, boście dumni i sobą jesteście,
 Choć za to krwią was obmyją na chrzeście,
 Boście wy z ducha odwagi poczęci.

I w każdym śliną obluźzanym mieście
 Waszym widokiem w twarz razami cięci
 Ludzie się tłoczą z strachu — bez pamięci,
 A wy im w oczy z szkła — zwierciadło nieście!

I mniejsza o to, czy światłem miłości,
 Czy rozawiecone ogniem i żelazem:
 Jedno wam łożo ród ludzki wymości.

Odwagi prawdy nie puści wam płazem,
 I znów w ofierze krwi obłudnej złości
 Z krzyża zawiśnie łotr i Chrystus — razem!

IX.

I nie dlatego, że czyni zbrodnicze
 W waszej życiowej zapisane księdze,
 I że oglądam u was tylko — nędzę,
 Z pogardą od was odwracam oblicze.

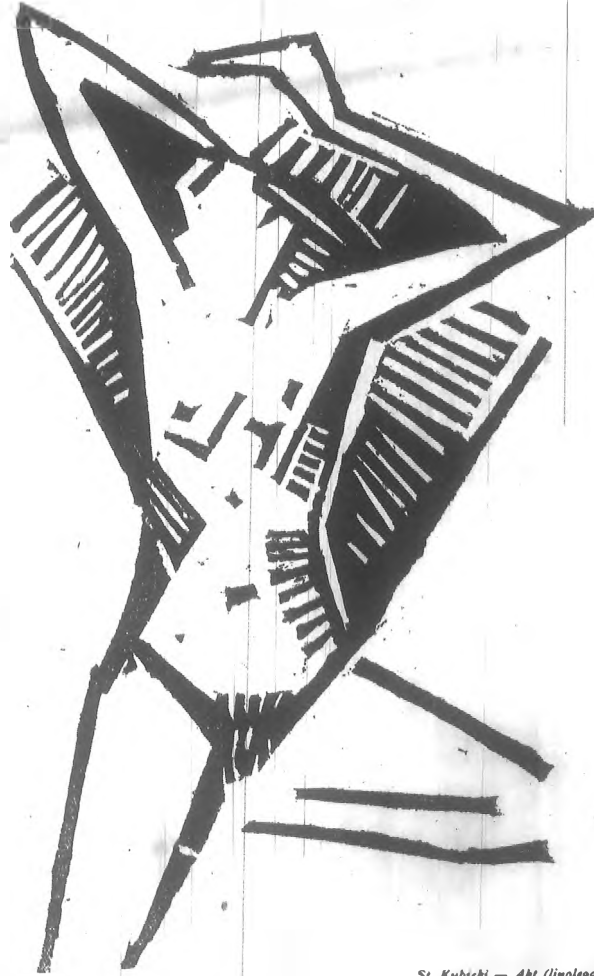
Gdyż jestem człowiek i dni smutne pędzę,
 I z życia piję tak jak wy goryczkę,
 A godzin bieg, jak wy, na grzechy liczę,
 I pragnę tylko, żeby biegły — prędzej.

Ale dlatego gardzę, żeście — mali,
 I nawet grzechu odwagi nie wróżę,
 Bo żądza tylko was — z za węgla pali.

I sam się w smutku ocean zanurzę,
 Gdy was zobaczę, was, ludzie — nieśmiali,
 I się odwrócę smutny, boście — tchórze!

JERZY DROBNIK.





St. Kubicki — Akt (linoleodruck).

ANIMA MUNDI.

(Fragment powieści.)

JADWIGA MARCINOWSKA.

Istnieje — od czasów nieogarnionych w żadnej pamięci, dawniej niżli najstarsze o niej świadectwo historyczne i dawniej niż świadectwo legendy...

Najściślejsza myśl nie potrafi określić momentu, w którym Sziwa mówił do Parwati-Gauri: „Na początku rozpościerał się jeno beźmierny — niebyt. Ani ładu, ani wody, ani ognia, ani powietrza, ani dnia, ani nocy, ni dźwięku albo kształtu, ciemność dokoła... I oto wtedy, — który jest Nieobjęty i który Niepoznawalny, wielki Parabrahm stworzył mnie boga Sziwę, a uczyniwszy to, stał się znów Tajemnicą. — A jam wizerunek jego i bóg ludzi prostego serca i dlatego nazywają mnie pradawnym Paruszą¹⁾. I ze siebie samego w następstwie wywiodłem cię, matko świata...”

¹⁾ Parusza — człowiek.

I po słowach tych obrócił Sziwa przestrzeń pod stopami swojemi w święty i najcenniejszy kraj „Kaszi”. Nie spoczywało miejsce to na ziemi ani na niebie, a jeno na wierzchołku trójzęba Mahadewy i kiedy w międzyczasie pomiędzy zgonem jednego cyklu wszechświatowego żywota a narodzeniem zjawiała następnego, potop wypełniał wszystko bezmiarem oceanu, ten jeden punkt w całym świecie unosił się bezpiecznie i stale nad wodami.

Łaskawie i dobroczynnie spoglądali przed siebie Sziwa i Parwati, obcujący w nieśmiertelnem grózdisku „Kaszi” i ze spojrzenia tego wzbudzona jest do życia potężna czwororamienna istota i nazwali ją Maha-Wisznu¹⁾ i orzekli, że wylonione zeń będą księgi Wed, aby mądrość ich kierowała krokami ludzi..

Świeciła się niezrównanym urokiem stolicą „Kaszi”, perła wszystkich miast, które były i będą i być mogą. Pięknością jej zniewoleni bogowie przekładali pobyt w niej nad mieszkanie w niebiesiech i pustoszała Dewa-Loka²⁾ na korzyść miasta jaśniejącego wygięciem półksiężyca nad złotawo-błękitnym nurtem Gangi najświętszej i w opasaniu dwu rzek pomniejszych, Warany od północy i Asi na skraju południowym. A była już wtedy umocniona powierzchnia ziemi i na niej rozpowszechniony ród ludzki jako mrowie. I oto przyszła kłeska straszliwa długiej suszy... Przez sześćdziesiąt lat ani jedna srebrna kropla dżdżu nie upadła by odwilżyć spiekotę, spalone i jałowe obszary pól nie dawały życia żadnej roślinie, a ludność zrozpaczona kryła się w cieniu jaskiń albo ponad brzegami wycieńczonych i młących rzek i musiała, głodem nagłona, popępiać obrzydliwość spożywania pokarmu mięsnego... Trapili się bogowie, że wyniszczą wszelkie żywe stworzenie i w trosce tej obrócił się sam Brama do rady Rapundżaji, który był wielkim świętym i właśnie pod ten okropny czas w mieście „Kaszi” odprawował upalnie srogie i potężne praktyki Tapas. I zażądał od niego Brama, aby stając się władcą Kaszi, wybrał tym sposobem lud jej z niedoli. Albowiem tylko na głowę cnotliwego króla mogli bogowie zlewać pełnię łask swych dla ludu. — I tak — człowiek bogom był nieodzowny ku temu, aby mocą dobrodziejstw zatamowali moc złego. — Zgodził się Rapundżaja, wszelako pod niezłomnym warunkiem, że na przeciąg sprawiania przezeń rządów bogowie co do jednego opuszczą miasto, aby przenieść się znów do nieba. Brama w poselstwie przedłożył to rozstrzygnięciu Sziwy, a gdy ten się do warunków nakłonił i wydiął z orszakiem by zamieszkać na wierzchołku góry Mandary, pospieszyły za nim pomniejsze bogi.

Upłynęło — osiemdziesiąt tysięcy lat... Rapundżaja pod imieniem Diwodasa wciąż jeszcze panował nad szczęśliwym ze wszech miar narodem. Aliści bogom oddawna gryzła serce tęsknota do grodu miłwanego, którego wspomnień zaćmić albo złagodzić nie potrafiły żadne niebios rozkosze. — Podobnemu stanowi rzeczy kres położyły mogłoby jedynie jakoweś wykroczenie Diwodasa, pozwalające wyużyć go z królestwa i miłej nieśmiertelnym stolicy, — lecz radza ów nie popełniał nigdy żadnej przewiny. Więc zmówiły się bogi i nakłoniły Agni, jednego z pośród siebie, aby wycofał moc swą w całej krainy Kaszi. Brak ognia byłby wtrącił ludność w położenie rozpaczne, ale król wykrzesał światło i ciepło z własnych swoich nadprzyrodzonych potęg psychicznych — i podjęcie się nie udało.

Zasmuciła się nieskończenie dusza Sziwy i z małżonkiem pospołu dusza wjernej Parwati-Dewi. Nie dawali się oboje niczem pocieszyć po utracie stolicy, która „jak kwiat lotosu unosiła się niezniszczalna, kiedy niebo i otchłań stykały się w czas potopu”. A wiązała ich obietnica i na żaden sposób nie godziło się łamać słowa.

I rozkazał w smutku tym Sziwa sześćdziesięciu czterem „joginiom” półboginiom zstąpić do najmilszego grodu i upatrywać, żalić nie popełni król wykroczenia. Usłuchały „joginie”, poszły — lecz bez powrotu. A powodem k'temu było nie tylko, iż w postępkach cnotliwego radcy nie mogły dopatrzeć się żadnych win, lecz przede wszystkim i najbardziej, że rozkochały się w świętym mieście i osiadły w niem, przyczem każda staraniem swym wzniosła „lingam” dla rozpowszechnienia czci Mahadewy. — Wyczekujący napóżno posłał tenże z kolei Suryę, słońce na rydwanie wieszonym przez siedm rumaków jako siedm barw zasadniczych, z których się światło składa. Poszło słońce i nie wróciło oczarowane urokiem miejsca niezrównanego. — Wybrał się przeto Brama i w postaci sędziwego kapłana, przystąpiwszy do rady zażądał odeń wszystkiego, co potrzeba dla wykonania z całym przepychem dziesięciokrotnego obrzędu ofiary Aswamedha. Pewien był, iż król nie mogąc sprostać zadaniu, ściągnie na siebie zarzut opieszałości w stosunku do bogów i w ten sposób dostarczy żadanego pozoru. Aliści i to chybiło, odprawiła się Dasaswamedha, zasię przebiegły Brama uległ losowi Suryi, uwięzła go piękność miasta, nie powrócił do nieba. Zstępowali jeszcze później i również nadaremnie „Ganasowie” półbogi z orszaku Sziwy i wreszcie jego

¹⁾ Maha — wielki.

²⁾ Niebo bogów.

własny syn ulubieniec Ganesza. Roila się cudna Kaszi od lingamów, kaplic i świątyń wznoszonych Sziwie na cześć, bo każdy z pozostających uważał to za powinność swoją, ale sam Mahadewa jeszcze tęsknić musiał i czekać, zatrzymany przez siłę złożonej obietnicy. I trwała nierozegrana walka owej tęsknoty bogów z wytrzymałością człowieka. Aż nareszcie Ganesza i Wisznu społem wynaleźli wyjście w tej sprawie. Z namowy ich król wystawił świątynię Sziwie pod imieniem Diwodaseszwara, co się wyklada bóg Diwodasa i owóż dnia pewnego, gdy pograżon był w oddawaniu czci temu bóstwu, zjechał z nieba rydwan świetlisty i uniesion jest radża do nadziemskiego przybytku, a Sziwa mógł powrócić a z nim Parwati i inni bogowie i wszyscy już z całkowitą swobodą zamieszkali ponownie w upragnionej stolicy...

Z przebiegu powyższych zdarzeń widać jaknajwyraźniej, jaką nieprzeplaconą wartość posiadało prastare miasto nad świętą, złoto-niebieską Gangą i w jakich okolicznościach ugruntowała się tu od początku przewaga wybitna kultu Sziwy.

Płynęły wieki, a gród nie tracił wyjątkowego znaczenia. Opowiadała Wisznu-Purana, że kiedyś stoczyli o niego walkę Kriszna przeciwko Mahadewie, a wówczas nosiło miasto, narówni z swem pierwotnym imieniem, jeszcze drugie: Waranasi — od rzek granicznych na południu swem i północy. Płynęły wieki i gdy bogowie nie mieszkali już nigdzie na ziemi, nawet w miejscach najmiłszych i najbardziej błogosławionych, zastąpiły ich w Waranasi rody królewskie i różne bywały losy miasta najcenniejszego, aliiści poprzez stulecia i wszelkich odmian koleje nie przestało ono nigdy być sercem całej ojczyzny Bharat'ów i nie starła się zeń przenigdy ta jedyna i najwyższa łaska bogów, czyniąca że człowiek, który w tych świętych murach dokonywa żywota, pewien może być wyzwolenia, nie odradza się w kole istnień śmiertelnych i bolesnych, ale łączy się z Nieskończonym, roztopia się wprost w Parabrahmie.

I po dzień dzisiejszy tak samo — tu leży serce ogromnego, dziwnego kraju, tu dla milionów duchowa, niezaprzeczona stolica i nic się w tym stosunku wewnętrznym nie przeżyło, chociaż przyszli zabórcy i ujarzmiili krainę, a nie mogąc wymówić imion tutaj rodzimych, starożytnie nazwanie od Warany i Asi przekreśliłi cudacznie obco uszom — Benares.

Relikwia Indyi, miłość serc i pycha,
prastara Kaszi nad Gangesem siadła
stłoczonych świątyni wstęga... Toń oddycha
tajemniczością; patrzą w jej zwierzciadła
wieżycę tłumne chramów, gdzie czczą Sziwę,
Durgę i Lakszmi, Wisznu i Ganeszę...
Rankiem pogwary dzwonów mkną zglikliwie
i śpiewa tęskny flet, i łoskot krzesze
między w uderzanych śpiesznie kręgach; dzwięczy
dzwoni i huczy bogom pieśń - witanie...
Wije się Ganga; gród jest w pół — obręczy
wody cudownej, gdzie z win obmywanie
biorą pątnicy... Patrz, gromady całe
czynią bezsłowne nad falami wiecie;
zamknięte oczy widzą wnetrzną chwałę;
tłum zlaný słońcem stoi w Gandze — rzecze...

Sanjasin дума, że go wielki Sziwa
lub boski Hari traci w cichą duszę,
by wyszła z ciała, jak się wydobywa
ciało z odzieży...

W blasków zawierusze

Sanjasin дума, że się nędze mrowią,
że w życiu boleść sprawdza się jedynie,
że dola każda ma zasłonę wdowia,
że wszystko zładą...

Ganga w słońcu płynie...

Sanjasin дума, aż gdy Mahadewa
wyszepece uchu tajne słowo zblizka...
Jest chram zanurzony w wodzie; Ganga śpiewa,
na sztywniejącej zwłoki falą pryska;
odchodzącego — w nurty Gangi kładą...
Rzeźby świątyni świecą się wśród toni,
błogosławieństwo splywa na twarz bładą...

Sziwa wychyli się i znak odaloni
Sziwa wychyli się wśród szepców rzeki;
włoży dźwięk w ucho i blask we źrenice,
aby, gdy zamkną się tych ocz powieki,
dusza odeszła, znając tajemnicę...

Ganga zatacza tutaj wielkie a łagodne półkole z południa ku północy; na wygięciu od zachodniej strony w kształcie półksiężycy rzeźbi się święte miasto. Co najmniej sześćdziesiąt wielkich „ghat'ów“ szerokiemi stopniami wstępuje z wody na wysoki brzeg. I niemasz nigdzie we wspaniałościach świata djademum równego tej pół - koronie z wyrzeżanych cudownie wieżyc świątynnych i frontonów pałaców. Około tysiąca i pięciuset chramów większych i mniejszych zaludnia pobożną Kaszi, zasię przeważna onych część piętrzy się nad Gangesem. Wielmoże ze wszystkich stron „Aryawarszy“ ubiegali się z dawien dawna o zaszczyt i szczęśliwość posiadania jaknajwspanialszej siedziby nad rzeką niezrównaną i stąd pałace radżów w lesie wieżyc rzeźbionych...

Ganga rodzi się w Himalajach i ma początek boski, jest właściwie boginią, przytem wody jej posiadają przyrodzoną osobliwość, tę mianowicie, że zamierają w nich wszelkie zarazki chorobowe. Dlatego

mówi się o czystości tej rzeki. — Przypisują się jej okrom tego moce nadprzyrodzone, a właściwość oczyszczająca tych wód poprzez ciało ma sięgać w duszę. Kąpiel w Gandze jest sakramentem i oto z całych Indyi dzień po dniu bezustanku przyciągają tysiące i tysiące pielgrzymów.

Leży przedrana mgła na brzegu wschodnim, pustym, od kiedy w oddaleniu wieków istniała tutaj krótko i runęła w niepamięć rywalka wiecznej stolicy. Jeszcze oporem przedświt otulona, spogląda Kaszi poprzez rzekę uśpioną na tamten brzeg nieszczęśliwy. Albowiem biada ludziom, którzyby najsmutniejszym zdarzeniem wyzionęli tam właśnie ducha; odrodzą się w hariebnej osła postaci...

Miała się rzecz tak — bardzo dawno: Przesławny mędrzec Wjasa w zatargu z Sziwą wybudował z trudem ogromnym naprzeciwko boskiego miasta gród Wjasa - Kaszi. I oczywiście zapragnął zrównać go z pierwowzorem pod względem przyswileju najcenniejszego, który śmierć w obrębie błogosławionym czyni promiennym roztopieniem się w Bogu. Zwrócił się po tę łaskę do Parwati - Annapurny. Ale małżonka Sziwy postanowiła ukarać dumę człowieka przez własną jego wolę. Przyjawszy na się postać staruchy zgrzybiałej i głuchej, naprzykrzała się mędrcom raz po raz pytaniem: co stanie się z duszami ludzi zmarłych w tym grodzie? Rozdrażniony głęboko odpowiedział Wjasa nakoniec: „Ktokolwiek umrze tutaj, odrodzi się jako osioł...“ A bogini natenczas, zrzucając pozór znikomy: „Stanie się jako chcesz!“ I tak przeklął człowiek — swe dzieło.

Pospieszna zorza wypiła mgłę dziewczęciami usty koloru róży i Surya wjeżdża na krawędź niebosklonu, widać już płonące barwami grzywy jego siedmiu rumaków. Zadrzała i ożywiła się rzeka, szereg złocistych błysków poleciał po gładkiej toni; „Ghaty“ uwieńczone klejnotami pysznych budowli, patrzą się wschodzącemu słońcu wprost w boską twarz; na szeregach stopni już pełno ludu. Tłumy smukłych postaci z brązu połyskliwego zanurzają się w wodę. Pograżają się torsy i głowy, a następnie ze srebrem ociekających kropli na upojonych obliczach trwają modlący się z zamkniętymi oczyma po pas w cichym przepływie fali długo i długo — z cudownym widzeniem w głębiach duszy. Z najniższych schodów pobożne ręce sypią kwiecie w nurt rzeki. — Powyżej, nie baczni na chłód poranka i nieobeschnięci jeszcze po świętej kąpieli „sadhusi“ zastygają w kontemplacyjnej postawie.

Zerwał się „nabhat“. — Z setek świątyń setkami uderzonych dzwonów i gongów i śpiewem nieskończonej ilości słodkich fletów. — Dźwięczy, huczy i tęskni bardzo dziwna pieśń zadyszana, jakby w zgiełku bijąca tysiącami potężnych skrzydeł. — Słońce na złotym wozie wjechało już tryumfalnie na niebieską górę. Półkole świętego miasta iskrzy się odbijaniem promieni. W pośrodku łuku — Dasaswamedh-Ghat już zakwitnął żółtą bielą parasoli palmowych, pod którymi asceci w zadumaniu przepędzą dzień cały. Miejsce to jest, na którym ongi iradza Diwodas, pełniąc rozkazy Bramy, złożył dziesięciokrotnie wielką ofiarę z rumaka. Tu zawsze najliczniejsze tłumy pańników, tutaj punkt centralny w dyamencie nad wygięciem świetlanej, wieszczej Gangi. — W pobliżu zakątek cokolwiek ustronniejszy, gdzie kąpią się kobiety. Migocą wszechbarwne plamy; jeno część przyrodziewku złożono na stopniach „ghatu“, skromność nie dopuszcza nagości, zmoczone jaskrawe „sarye“ uwydatniają kształty wysmukłych ciał. — Zwolna, pootulane znów w faldziste osłony, jedna za drugą kolorowym szeregiem idą w górę ku miastu, każda w rękę ma z lyskliwego brązu śliczne naczynie z zaczerpniętą czcigodną wodą. I wije się tak sznur malowniczy dostrzegalny wzdłuż brzegu wśród krążanków i wież. — Na Manikarnika-Ghat dym błękitny obłoczkami się wznosi, to jest miejsce, gdzie ogień ku ostatniej posłudze złotym żarem niweczy niezdatne już i zbędne ciężkie szaty cielesne, które zrzuciła dusza. Cicho palą się stosy. — Na barkach idących krewnych nosze z wieńcami kwiatów; pod kwiatami i płótnem zgasły cicho spoczywa. — Ułożą go nad Gangesem twarzą do wieszczej toni, aby żegnał się z nią; obmyją go wodą świętą, zanim pójdzie na stos.

We wspaniałości rosnącej króluję Surya wysoki, płoną światłem rumaki i rydwan szybki w biegu; coraz jaśniejsza jest rzeka, pojoła mżemien promieni, coraz pyszniej lśni miasto łukiem od ujścia Warany do smugi nikańcej Aśi. Haftowane z kamienia, który stał się wzorzystym, owalne i spiralne głowy przedziwnych świątyń rysują się w zstępowaniu tłumem na brzeg. Ku północy nad tą wstęgą rzeźbioną strzelają czystością smukłych linii podniebnie minarety meczetu Aurangzeba. — Świątynki małe, cacka myśli niewyczerpanej, wyrastają pomiędzy kondygnacjami „ghatów“ i poniżej jeszcze tuż nad poszeptem fali. Najśliczniejsza, Tarakeszwara - Sziwa nawprost ghatu Manikarnika stoi już całkiem w wodzie. Cudnie zgrabna i bogactwem rzeźb czarodziejska wykwita jak kunsztowny kwiat z nurtów Gangi. Umierającym nad świętą rzeką i zgoła świeżo zmarłym, gdy w Gandze oczyszczenie ostatnie biorą, bóg Sziwa, wychylony z wodnej kaplicy, kładzie w ucho tajemne brzmienie „mantry“, zapewniającej zbawienie...

Za półkolem na brzegu reszta miasta istnieć zda się przeważnie dla współdziałania temu, co się nad Gangą dzieje. W wąziutkich uliczkach, gdzie wysunięcie górnych krążanków i balkonów pozostawia

zaledwie widzialny skrawek nieba, kramy przekupniów pblyskuj4a nieskończoną mnogością i rozmaiitością posażków bogiń i bogów. — Krowy święte ocięzale kroczą w wędrowce swobodnej bez nadzoru. Pobożnie usuwa się im z drogi gromada pielgrzymów, których wiedzie przewodnik bramin, Gangaputr4a, syn Gangi. Tu i owdzie otwiera się gł4ab domostwa, dziedzińczyk widać ocieniony konarami banjanu, dokoła w celkach pędzą żywot rozmyślaj4acy sanjasi lub sanjasinię, to matham albo asram ¹⁾, należący do którejś z sekt, tu tak mnogich. — Mury w okół ogrodów dźwigaj4a uwieńczenie z misternej kraty; czasami w zacisznym sadzie tuli się nizki domek, którego mieszkańcem jest jakowys „swami“ rozgłośny ze świętości i wiedzy; czasami znajdzie się w takim miejscu „pathsala“, szkoła kędy uczniowie po lat dziesięć i więcej spędzaj4a na wczytywaniu się w Wedy.

Co rano i co wieczór z zaulków najodleglejszych d4aży každy do rzeki, zasię w ci4agu godzin dnia rzemieślnicy, artyści o cichej i subtelnej duszy, cierpliwie na metalu ryją piękne rysunki, wypracowuj4a dzieła często wprost nadzwyczajne. S4a w tajnikach domów izby jak skarbcce, zastawione mnogością cudnych naczyń i sprzędów bronzowych; powaźny kupiec nie wychodzi z tem na ulicę, trzeba odszukać go w pomrokach mieszkania. Nad składami bronzu — srebrne pokoje: ze srebra krzesła robione dla maharadzów, srebrne „hukki“, fajki olbrzymie i wylane przeslicznie „loty“, do upręży pawie srebrne w ozdobie końskich tów... Gdzieindziej najdelikatniej wyrobiona jest kość słoniowa, z niej bogów wizerunki albo ptaków i zwierz4at, wykonanie subtelne, jak sen o miękkości kształtu i jak dotknięcie, pod którym czar się dobywa.

Chwały tu zażywaj4a wszystkie bogi dostatnio, staraj4a Kaszi stać na to, aliści najwyższym zawsze jest Sziwa. — On twórca istotny — przez niszczenie. Daje Bramie wolę budowy doczesnego świata, a potem nad zbudowanym opiekę sile Wisznu powierza. — Sam w godzinie starości butwiej4ace dzieło — rozwi4ażę, by ustapiło nowemu. Bowiem w sobie posiada rytm bezdennej kolei — i narodzin i zgonów, czyli — wiecznego życia...

Przed wieczorem pali się djadem Kaszi na tle zachodniej łuny, rzeka jest pełna tęcz. — „Nahbat“ śpiewa. — Chaty znów zaludnione. Fala muska powaźnie setki ciał nieruchomych, wystaj4a pońad wodę ramiona z bronzu i piersi pos4agowe, twarze modlą się upojeniem.

Potem cichnie muzyka, zgasaj4a barwy i lud rozplywa się strumykami powoli do siedzib w różne strony. — Na palenisku Manikarnika ogień zamieraj4ace żarzą się w ukojonym zmierzchu ostatkami błysków czerwonych.

Biały księżyc nasiąkn4ał światłem, pełnia stoi nad Gang4a nieśmierteln4a. Pryskaaj4a ramy zaleźności i czasu. Z promieni księżycowych płaszcz utkany owija boskie miasto powrotem legendy zawsze żywej. W świetlistości pereł i srebra haftowany rzezbami djadem świętej stolicy staje się nadświatowym. — W przestrzeni srebrno-mlecznej, w niezbadanem przestworzu, odjęta od wszystkiego, co rodzi się i przemija, widzialna jest wieszczka Kaszi, jak wonczas, gdy śród potopu na trójzbie swym — ją nieginal4a — utrzymywał sam wielki Sziwa. Widzialna jest Kaszi i unosi się jako tyara godna, aby ją włożył na skronie swe Mahadew...

Małżonkowie rozmawiali z pewną cichością: nie tylko głosów, ale i myśli przytłumionych, jak wobec splotu rzeczy wielkich i zdarzaj4acych się z siłą konieczną, w nieodpartem następstwie, a z przyczyn pozornie tajemniczych, bo źródło daleko jest i głęboce. Durgawati byla spokojna, Czandra Nath Ghos miewał chwile wątpienia.

„Nie widzę jeszcze skutków przebywania tutaj, nie widzę...“

— „A gdzieby miejsce nastęrczaj4ace więcej nadziei...?“

Czandra nie odpowiadział. Można być przez szereg lat wolnomyślnym członkiem Bramo-Samadžu a tem nie mniej, gdy chodzi o star4a Kaszi, podzielać w całej pełni tradycyjną wiarę w leczniczą i zbawiaj4ac4a potęgę tego grodu osobliwego. W żalobie lub niepokoju, w bólu albo w niebezpieczeństwie udaje się człowiek, jak pracuje jego czynili, do miasta, w którym dusza niechybnie otrząsa się z wszelkich trwów i zgoić się musi — lub wyzwolić...

Zamigotało coś po chwili w oczach Nath Ghoza:

— „Słuchaj, żono, nieprawdaż? Ona w rozmowach z tob4a imię jego wspomina. Bo — nie czyni tego wobec mnie, ale... z tob4a...?“

¹⁾ Schronienie.

— „I zę mną równie...“

— „I z tobą? Nigdy?“

— „Nigdy, Czandro!“

Przygala twarz opiekuna:

— „Sądziłem, że w obecności mej zawstydzienie...“

Od dłuższego już czasu wiele serdecznej pracyłożył w stosunek codzienny do Himawati, wszczywał rozmowy z nią chciał osmielić, wykazywał ojcowską troskliwość. Dziewczyna odpowiadała ze słodyczą, ale krótko, najkrócej, jakby ją kosztowało wychodzenie z siebie, z milczenia... We frasunku pocieszyć się pragnął przypuszczeniem, że ufnosć jej, hamowana przez powściągliwość dziewcziczą, otwiera się jednakże oczom matki przybranej. Słowa żony rozwiwały i tę nadzieję. —

— „Co się w niej odbywa? Co dzieje się może w tej zamkniętej duszy...“

Durgawati odrzekła:

— „W każdym razie najlepiej i najbezpieczniej jest, że to tutaj... Nie potrafimy nic więcej uczynić dla niej w tej chwili...“

Dzień był grudniowy i nieupalne słońce ogromnie słodkie; w ogródku wokół domu pomiędzy skupinami bananów pachniały niezliczone krzaki róż, osypane gwiazdzistym kwieciem.

Mieszkał tu od kilku tygodni w pietyzmie oczekiwania. Łaskawość świętego miasta mogła któregokolwiek dnia zatryumfować niespodziewanie nad zagadką cierpienia i rozproszyć je podobnie do tego, jak promienie zaranne mgły rozpraszają... Po za ufnoscią tą jednakże było w nich jeszcze coś przemożnego, uczucie znajdowania się wobec spraw, które idą w nierozzerwalnym ciągu a rysami wielkimi zdaleka i daleko.

Dla Czandry zaprawiało się to odcieniem troski. O ile na początku zwlekał przez długi czas z pozwoleniem na małżeństwo powtórne wychowanki, o tyle później, przełamawszy wzgląd na opinie, przywiązał się do tego projektu z całej mocy. Z faktem zaślubin łączyło się pozyskanie w Januszu stałej siły współdziałającej w pracach i walkach narodowych. Postępowy patriota indyjski oceniał coraz bardziej rodzaj tej siły, wnoszonej przez człowieka z zachodu i Polaka zasób żywego w tych rzeczach doświadczenia, pierwiastki sprężystości, umiejętność szeregowania środków i ludzi. Nie był w stanie myśleć bez żalu o możliwej utracie tak doniosłej pomocy. — Oboje z żoną nie wyrażali nawet pomiędzy sobą obawy, że dziwny stan Himawati w jakowyś, niejasny jeszcze, sposób zagraża małżeństwu pożądanemu, nosili jednak w sercach to przypuszczenie. — I rozumieli oboje bez słów, — że jeśli się to prawdą okaże, przymuszać wychowanki nie będą koniecznym, niecofnionym wynikiem ze splotu wielkich rzeczy, płynących im nad głowami.

Dochodziło południe i róże zarastające ogród płonęły blaskiem subtelnym a rozkosznym i mocnym jak hymn dziękczynienia. Pachniał i radował się zimowy kwiat Benaresu... Głęboka ufnosć mistyczna wstąpiła do duszy Durgawati.

„Wiesz, jak miłuję dziewczynę, rzekła mężowi. Cieszyłam się jej szczęściem, jakbym sama powtórnie przeżywała swe młode lata... A teraz — zakrytem jest przedemną, jak się los jej rozwiąże, a przecież się tem nie trapię... Wydawa mi się w tej chwili, jakbym nad nią widziała jasny obłok... Jakoż martwić się mogę, jeżeli droga żywota jej w każdym razie zakończyć się ma w jasności...“

Himawati dopisała ostatnie słowa. Drobnym płomyk lampki chybotał się w cichym dreszczu przed-rannego powiewu; przez uchylone drzwi od werendy znać było, że się już dzieje coś poczynna wpośród sennego światła. Wzruszał się mrok potrącony pierwszymi uderzeniami wielkiego serca dnia. —

List był krótki; treść zawierała się w wyrazach ciepłego pożegnania i pogodnej pewności, że osiągnięty został cel życia, że wypełnione zadanie, do którego być mogły użyte dziewczęce siły.

Himawati zgasila lampę i otulona „saryą“ wysunęła się z domu jak cień.

Dniało. Wijące się i wąskie uliczki miasta nie wynurzone jeszcze z szarego zmirzchu napelnily się zngąta dziwnym, nieokreślonym szelestem. Wzmagał się szmer ten i dobywał ze wszystkich zaułków i płynął w stronę rzeki. Był to odgłos wielu bosych stóp, idących lekkimi krokami. Zarówno pielgrzymi, jak i mieszkańcy „Kaszi“ ciągnęli na brzeg Gangi porannym, codziennym obyczajem. Całe miasto w godzinie srebrno-szarego świtu rozmawiało, zda się, tym szeptem lekkich stapań...

Himawati czuła się pełna wewnętrznego, słodkiego blasku. Otulona fałdami „saryi“ cicho mijala gromadki ludzi, wzdychających pobocznie: „Mahadewi!“ albo „Sita-Rami!“ albo „Hari!“ Nie spieszyła się,

chód jej był spokojny i równy, stanowiła kroplę w ogólnym strumieniu z tą jednakże różnicą, iż dla wszystkich innych miało się to nazajutrz ponowić, dla niej — nie. Idąc uśmiechała się do ukochanego i do spełnionego dłań posłannictwa miłości...

Powiało rzeźkim chłodem i oddechem rzeki; labirynt zagmatwanych uliczek wylał się na wybrzeże Gangi.

Chód Himawati stawał się pełen szczęścia. Miała u stóp jakgdyby niewidzialne i pieściwe skrzydła, które niosły ją nad powierzchnią ziemi. Odczuwała tam nie mniej całą swoją istotą każdy kształt wymijany, każdą relikwię tradycji albo kultu, przy każdej pozostawiała z siebie coś należnego miejscom docześnie świętym i docześnie czczonym. Tym sposobem stopniowo oddzielało się wszystko, co nie mogło iść za próg pozornego końca, nie będąc w sobie niezmiennie i wieczycie żywym. A dusza rozświetlała się w coraz to większej pogodzie. W piersiach była lekkość i ufnosć; ciało zdawało się już zawczasu nieważkie i nie stanowiące przeszkody.

Doszedłszy do ghat'u Dasaswamedha, zwróciła się na lewo. Płynęła teraz wszystka jak uśmiech pożegnany. — Przeszła wybrzeżem ponad ghatami „Mira“ i „Lalita“, przesunęła się w sąsiedztwie zmarłej grupy świątyniek, z których jedną miał pierwotnie zbudować Diwodas wielki radza wielkiemu bogu Sziwie, wyminęła piękną świątynię nepalską, która jest cała z drzewa, rzezana w wizerunki bogów i bogiń i bliższy się złoceniami dwupiętrowego dachu. Zwolnił krok jej około sadzawki „Mukti-Kszetra“, co się wklada miejsce oswobodzenia.

Wykopał zbiornik ten przed wiekami bóg Wisznu dyskiem swym poświęconym i pogrążył się w nim na lat pięćdziesiąt tysięcy w natężeniu srogiego „tapas“. Z żaru wywołanego przez tę gorliwość wytworzony pot boski nappełnił stawek po brzegi. Pobożność Wisznu ściągnęła łaskawe oczy Sziwy, nachylił się Mahadew nad sadzawką, wtem klejnot „mani“, zdobiący jego ucho „karna“ wpadł w toń. — Stąd Makti-Kszetra nazywa się także Manikarnika.

Później bogini Ganga, wykopawszy się w tym zbiorniku, jeszcze podniosła jego świętość, tak że dzisiaj należy on do „Pancza-Tirtha“ — pięciu miejsc najważniejszych, które każdy pielgrzym bezwzględnie odwiedzić i uczcić musi.

W godzinie bardzo wczesnej nie było jeszcze tłumy za krętą, okalającą sadzawkę, ani na czworoboku stopni, schodzących do wody. Zaledwo tu i owdzie jakaś postać drżąca od chłodu po zarannej kąpieli, najczęściej stary człowiek ze sztuką białego płótna dokoła chudych bioder, a ramionami otulonemi w namabali, na którym wytloczzone są imiona Hari'ego i Ramy i odciski stóp Wisznu, „Wisznu-pad.“ Dopiero nieco później, po najpierwszym ponad Gangiem obrzędku, rozpoczając się miała dla tysięcy gorliwych codzienna „dźatra“ czyli obchód pięciu miejsc najważniejszych i innych bardzo wielu.

Dziewczyna powiodła wokół słodkimi spojrzeniem, a złotawe stopki już ją lekko znosiły w dół ku wielkiemu ghat'owi „Manikarnika“, który od tej sadzawki bierze swe słynne imię. W przejęciu „saryą“ musnęła jedną z licznych tu „sati“, stojących płyt kamiennych, pomników żonom, które spłonęły ze zwołkami małżonków swoich. Przebiegł ją krótki dreszcz, lecz nie skażił rozpromienienia na twarzy. Usiadła cicho w zakątku na szczyście schodów.

Ganga występowała z mgły stalowo-srebrnym wygięciem. Półkolisty bieg jej kładł się pod stopy haftowanym świątyniom; „bhaolie“ duże łodzie z szerokim i żądartym do góry dziobem zalegały wodę przy brzegu. Drobna fala z tajemniczym szepcieniem oplukiwała zręby ślicznej kaplicy „Tarakeszwara“, Sziwa czekał... Na palenisku nie wyczuwał się jeszcze codzienny ruch, czerniały jeno po wczorajszych ogniskach zgliszcz i rozszypiska popiołów.

Znienacka na środek rzeki wypłynęło niewielkie czółno. Poruszało wiosłami dwu „Dandich“; poznać ich można było po czaszkach ogolonych i czerwonej na biodrach tkaninie. Dwaj inni siedzieli, mając pomiędzy sobą ciężar jakowyś w dwu kamiennych płytach ściśniony i w obowiązaniu grubego sznura. Zatrzymała się łódź nawprost „Tarakeszwary“ i Dandi'owie dźwignęli z trudem nieboszczyka, boć on był w onej trumnie z kamienia. Chwilę leżało brzemię wpoprzek czółna na krajach, poczem zesuwane ostrożnie, pograżało się w toń... Plusnęło ciężko i rzeka zawarła się znów. Duże kręgi przez chwilę rozchodziły się coraz dalej i słabiej... Ze ślicznej „Tarakeszwary“ Sziwa musiał wychylić się niewidzialnie, aby w ucho zamknięte wszystkim dźwiękom doczesnym włożyć „mantrę“ tajemną, która wieczność odsłania...

Na jednym z stopni „ghat'u“ na przenośnej platformie drewnianej usiadł „ghatia“, dozorca odzieży, którą kąpiący się składać mogą. Ludzie poczynali zstępować w wodę, w pierwszym ruchu pochylając się, aby czoło polać kilku kroplami, zanim nogi wnijdą w prąd świętej fali. —

Himawati myślała o dniu upłynionym, kiedy z innego „ghat'u“ patrzyła na kochanka, stojącego nad Gogrą lazurową. Wtedy ręce jej wiodły jego serce głębiej i głębiej, aż dotknęło się bytu Indyi, i tajemnicy Indyi i miłości do Indyi... Ale nie po to, aby tam pozostać w słodyczy. — Jej własne, całe szczęście ziemskie od tego pozostania zawisłem było i dlatego nie mogło dojrzeć w owoc i zaświeciło się tylko jak kwiat rozwity na chwilę... Ale nie skarżyła się, dawno przeminął i nie powrócił dech trwogi... Wtedy nad Gogrą w rozświetlonej Ajody ujrziała najwyraźniej, jak głęboko, do którego punktu nieść należało serce ukochanego człowieka. Albowiem był to punkt, czy też moment jaśniejący jak gwiazda w zagłębieniu wewnętrznego żywota. Spotykały się w nim dwa promienie, przychodzące ze stron przeciwnych zdaleka... Himawati zrozumiała teraz dokładnie, że to w dawnym świetle Janusza były one ze sobą tak w przeciwieństwie niepojednanem. Patrzyła na nie; obydwa wyrastały z potęgą samego życia. — W świetlistości tych smug wyczytała wieczystą ich imiona: „religia“ było jedno, a „matka-ojczyzna“ drugie. — Uśmiechnęła się; tajemnicę Indyi stanowi ten punkt powiązania... „I dlatego, o, miły! dlonie me twoje serce aż tu przynieść musiały i położyły skarb swój tu w kielichu lotosu...“

Lot młodzieńczych Aświn'ów napełnił przestwór ciepłym blaskiem różowym; cudni bracia bliźniacy, bogowie porannej zorzy, płynęli falowaniem barwionego powietrza i oddechami wesela na wysokościach i niżej po obliczu budzonej ziemi.

Na krawędź nieba wjeżdżał słoneczny wóz, grzywy rumaków Suryi paliły się kolorowo... Wtem od złotego rydwanu oderwała się iskra świecąca i leciała ku Himawati...

Oblubienica widziała ją oczyma uwiecznionemi czarem tego zjawiska; widziała jej osobliwą żywość i chyżość i wyraźny ruch jej ku sobie; widziała ją rosnącą w zbliżeniu i jak przedziwnie przetwarzało się światelko lejące w dziewczęcą twarz, pełną mistycznego uroku, jak na twarzy tej pod zrosnięciem czarnych brwi zajaśniały oczy wieczne jak miłość sama; a zielonawe kolorem by tajemnica morza; jak zakwitły usta, podobne do królowej wszystkich szkarłatnych róż, niedotkniętej jeszcze żadną piśczęcią, prócz srebrnych kropel rosy...

Jasia...

„Idziesz, siostrze, po niego? Oto stoi już tam, skąd odejmują się dlonie moje, i kwiat mojego szczęścia osypał się cicho, cicho, i twoje jest to, siostrze, prawo powrotu...“

I wydało się Himawati, że istotnie w tej chwili rozwiązują się dlonie, które serce kochanka opłatały tak długo wiernością i upojeniem, i piśczęcią, i wonią... jakby zapach jaśminu... A współcześnie odwiązało się życie od ziemi...

Dopełniło się... Himawati odchodziła, jak umięją w Indyach wychodzić z odzieży ciał już niepożądanych zamiarom wiecznej duszy... Nie gwałtem samobójczym z zewnątrz zadany, ale spokojnem wyswieceniem woli w jednym kierunku, otwierającym drogę wyswobodzenia...

Na palenisku Manikarnika dymiło się już parę niskich stosów, a wśród gromadki wyczekujących na spełnienie obrządku kilka kobiet siedziało w żalostliwej, zgiętej postawie z głowami na kolanach — ; może ta albo owa walczyła z zakazaniem dzisiaj pragnieniem rzucenia się w żar, jako „sati“...

Himawati nie spostrzegła nic z tego; oczyma duszy patrzyła na kochanka stojącego w punkcie świetlistym, gdzie tajemnica Indyi odkryta da mu skarb ku wstąpieniu na własną, dalszą drogę. Bezmiennie odczuła, iż będzie tam jego czyn i że nad tym szlakiem unosi się postać Jasi... Westchnienie z młodej piersi przepłynęło w uśmiech bez żalu: „Oddaję tobie, siostrze... Powrotu jest twoje prawo...“

Potem cicho sięgnęła w swem ciele władzę życia. Odwołała je z palców rąk, i złotych dłoni, i ramion, z nóg i wysmukłych bioder, ze członków wszystkich do złoźnika, do serca... Wykonane było, ku czemu miało służyć istnienie...

Rydwan Suryi już stał wysoko na przezroczystych niebiosach i ghat'y stopniowo pustoszały. Dziewczyna nieruchoma pod osłonami z „saryi“ różowej rozbierała się z więzów ziemi...

Gdy dusza nieśmiertelna dopełni znaczonej służby w przejściowej sukni z ciała, opuszcza ją, by znów kędyś zadania podjąć dalsze w jakiejś innej postaci...

Jeszcze żyło serce... Jeszcze żenice tego serca patrzyły na wspomnienie ukochanego... I szeptało coś jak głos serca w niezgaszonej nadziei: „Znowu kiedyś, mój miły...!“ Gdy przeminie jego droga obrona, i jutrzejszy czyn i wraz z onym powrótnie prawo Jasi... Bo cierpliwa jest miłość indyjska Himawati; przetrwa i nie zaniecha, przeczeka i nie będzie w niej zmiany.

Ale oto zamknąć potrzeba i to wewnętrzne spojrzenie; Himawati widziała już tylko przed sobą kopolkę Tarakeszwary obmywanej przez fale, kaplicę wodną, gdzie Sziwa oczekuje...

A wtem od drobnych i smętnych pomników „sati“, których jest pełno na palenisku Manikarnika, przyszło trącenie... I dotarło, gdzie zamierały już, zda się wszystkie uczucia... Bo obudziły się na dnie ich oczy — „tamtego“... Długo spały pod kwiecistym w szczęściu zgluszeniem... Kiedy kwiecie opadło, dzwignęło się widmo wzroku.

Niewysłowiona męka zatargała duszą dziewczyny... Zaliż ostatnią świadomością jej tu być musi zgroza zagadki idącej z nią w koło istnień i na przebieg stuleci...? Dwa razy przeznaczenie spojrzało na nią oczyma — różnych ludzi; z którym ma być związaną... Kochała jednego, któremu kwitła z rozkoszą; odchodząc jeszcze kocha... Przerazenie uderza w ostatnim tętnie żył, zagadka zanurzyła szpony swe w duszę, w duszę...

Z wysokości, pod którą rydwan Surji jest niczem, spłynął spokój jak blask. — Zniweczyło się słońce w oceanie większego światła... Zatrzepotała skrzydłami cała istota dziewczyny, jak uwolniony ptak...

„Moksha...?“¹⁾

W pokorze swej nie od razu mogła dać wiarę... „Dla niej?“ Czy ta jej słodka, ofiarna miłość zasłużyła na taką łaskę bez granic. Czy ten cichy kwiat oszczędono godnym tego wzniesienia?

Będzie „mukti“, duszą, która nie wraca...

Zagadka roztapia się w łonie Bóstwa... Wyprostowuje się wszystko i osiąga wszystko i wszystko tonie w Jednym, który jest...

Z Tarakeszwary obmywanej przez fale Gangi wychylił się cicho Sziwa...

¹⁾ Wyzwolenie.



Stefan Samaj linoleodruk

MISCELLANEA.

KONIEC EPOPEI.

Przed 1. sierpnia, r. 1914 wyraz epopeja przywołał na myśl bądź dzieło sztuki mogące być tem mianem objęte, bądź dzieło Losu, wielkie przeżycie ludzkości w rodzaju powszechnie tak nazwanej epopei Napoleońskiej; dzisiaj — na dźwięk wyrazu epopeja powstaje nam w duszy zgola bez przygotowania, bez uprzedniego procesu myślowego — widmo krwawej teraźniejszości, jako jednej z największych epopei przeżytych, nie-wyobrażonych, a tak często w wyobraźnię zwykłą przechodzących. Widmo to rodzi się, w mózgu najodporniejszym — momentalnie — z niemości, a jako rezultat następny w kolei wrażeń nieuniknionych nasuwa nam banalną już a jedyną wszakże nadzieję: „Koniec epopei“, koniec walki, powrót do tego, co nazywamy normalnymi formami bytu?...

Wątpliwem jest, czy znalazłby się umysł dość odporny, dość zamknięty w sobie, lub też rozlany w Nieuchwytnem, aby odrębnie reagować bezpośrednio na pewne dźwięki, pewne wrażenia słuchowe i wzrokowe w danej kategorii zdarzeń i epok, jak w przykładzie powyższym mianowicie. Inną jest kwestya reakcyi następnej t. j. tego stanu duszy, który następuje po impulsywnem drgnięciu strun wrażliwości, a może być ich konsekwentnym ciągiem dalszym, lub też świadomem opanowaniem myśli odruchowej, może być zareagowaniem osobnika przeciw własnej reakcyi wrażliwo-uczuciowej. Gdyby ten drugi objaw był w psychologii jednostkowej częściej spotykany, mniej byłśmy mieli olbrzymów „aktualności“ — w myślach, rozmowach, prasie, sztuce, literaturze, nawet sposobie życia. To wszechstronne zaktualizowanie jest tylko częścią ogólnego prawa o poddawaniu się duchowi czasu przez jednostki i narody, a że w epokach wielkich wstrząśnień duch ten działa najmocniej, bo najbrutalniej i — najokuczliwiej się przejawia jest faktem zupełnie zrozumiałym. Niemniej konieczna jest pewna doza przeciwdziałania, a obowiązkiem jej przypada w udziale przedewszystkiem poetom i myślicielom — tym najlepszym psychiatrom społeczeństw. — Jest rzeczą więcej niż prawdopodobną, że ostatnie dzieło Tetmajera powstało drogą analogii myślowej na tle historyczofizycznym. Przejął się, jak wszyscy i jak każdy naszym dzisią, ale, jako artysta odczuł, zanim może zrozumiał, że współczesność nigdy nie daje obrazu, którego warunkiem niezbędnym jest perspektywa, nigdy nie dopuszcza syntezy, której podstawa jest całokształt przedmiotu i beznamiętność widza i dlatego — wielki poeta stanąłwszy wobec dzisiejszej walki olbrzymów, zadziwiony potęgą, tworzącą naprzekór szerzącej się wokół potęgę destrukcyjnej cofnął się po glinę dla swego dłuta o 100 lat wstecz, do walki podobnej rozmiarem, choć z tak różnych motywów zrodzonej.

Większość błędów tego na wielką skalę zamierzonego utworu wypływa z tej dwoistości: przemagającej analogii zewnętrznej, a oroku odrębności istotnej tamtego, genetycznie nierównie wznioślejszego momentu.

II.

W dopisku do tomu III zaznacza autor, że „Koniec epopei“ może być uważany jako „opowieść“, ale w żadnym razie nie jako „powieść“, jeżeli chodzi o klasyfikację literacką. W rzeczy samej o powieści i mowy być nie może. Opowieścią zaś jest wszystko, co ktoś ustnie lub piśmiennie opowiada, byle w tem był jakiś związek fragmentów, chociażby dość luźny. Temu jedynemu, skromnemu założeniu „Koniec Epopei“ odpowiada w pełni. Nie jest to jednak dostatecznem usprawiedliwieniem braków kompozycyi, całego szeregu zbyteczności, psujących harmonię wrażenia a niweczących ciężką całości, w szczególach zresztą — spiżową. Intenacya autora widnieje, ze wszystkich kart tomu I-go, najmocniejszego ze wszystkich i z ostatnich karteek epilogu, a zwłaszcza z ducha „Wstępu“, który oddzielnie rozpatrzmy poniżej. Jego intenacya było studjum psychologiczne Naczelowieczeństwa, studjum empiryczne, dlatego w stylu powieści historycznej, przedstawiona, studjum myśliciela, który niczego nie chce dowieść, ale wszystko, co może jego umysł ogarnąć chce stwierdzić studjum poety, który gdzie może szuka zgody faktu na swój dogmat wcielania tęsknot spirytualistycznych. I raz więcej rozbił się cudny obłok niebotycznego snu o granit rzeczywistości: wielostronność podłoża historycznego rozproszyła natchnienie twórcy, owaładnęła nim chwilami analogia zewnętrzności, dał się unieść werwie malarzkiej — a Naczelowiek ma w życiu jak poza życiem — wolę wyłączną do potęgi jedynej, żąda skupienia w adoracyi jak w krytyce, na plan drogi usunąć go ani na moment nie wolno. Za wielką rolę odgrywają u Tetmajera opisy, sceny obcowe, epizody żołnierskie, charakterystyczne przyczynki lokalne: rozwlekanie niektórych stronic czyni je wręcz niepotrzebnymi. Czuje się, że chodzi tu o Napoleona, i tylko o niego, a to zabięglie stwarzanie mu tła, zamiast wypunktować, zamazuje miejscami sylwetkę jedyne go bohatera. Czytelnik gubi się, gdy naraz bohaterem staje się, na czas dłuższy książę Józef, zbyt wielki, by być komparem drugoplanowym, nie dość olbrzymi, by stać jako duch równy okom cesarza. Patryota zwyciężył artystę. Pomyśl był olbrzymi, piękny, niesłychanie interesujący, a ujęcie zapowiada się na początku bardzo oryginalnie.

Jak niegdyś u Mistra mistrzów, Słowackiego — pomyśl przerażał możność wykonania. To też arcydziełem a nawet utworem bezwzględnie dobrym „Koniec Epopei“ nie jest, i przewidzieć można, że zachowa z biegiem lat raczej wartość historyczną, niż literacką, (z wyjątkiem wstępu), ale zasługuje na rozpatrzenie szczegółowe nie tylko jako utwór wielkiego poety naszego, lecz jako dzieło prometejskie pragnieniem i wiarą, mocą Myśli zasadniczej i niewyczerpanem bogactwem wariantów.

III.

Poeta nie usiłuje przedstawić całości rozwoju Bonapartego; o fazach początkowych wspomina tylko nawiasowo tytułem porównania, kontrasta. Jego przedmiotem jest faza końcowa, dekadencya Tytana nowożytnego. Ilościowo zadanie uproszczone, ale jakościowo? Tytan, będąc jeszcze przeraża każdego ze zwykłych śmiertelników, a o ile, w jakiej mierze, po jakiej linii się zauwa, na ustalenie tych danych nie ma żadnego kryterium, prócz wąpli-

węj obserwacji zewnętrznej, pociągającej za sobą siłą rzeczy niedociągnięcia. Przy ewolucji wtapiającej może istnieć dla każdego kryterium względny paralelizm — przy odwrotnej nie, bo niewiadomo kiedy punkt upadku Tytana równa się zenitowi przeciętej jednostki, bo każdy może ten moment zabarwić subiektywnie i każdy słusność mieć będzie, tu niema żadnej podstawy do ustalenia proporcji. Bo jeżeli przyjmujemy za pewnik, że Nadczłowiek spełniony, w poczuciu utraconej mocy orleji schodzi do grobu — jeszcze X razy większy od ogółu — to jakiegoż szalonego napięcia ducha potrzeba, by iść za nim na jego szczyty niedościgłe, by z nim razem w tempie jego dostojności na grób mu wybrać! I to jest właśnie wielkością talentu Tetmajera, że to napięcie kolosalnie osiągnął; to zaś jest klęska, że napięcie to ulegało załamaniom, że natężenie duszy czytelnika zostało tylokrotnie rozdarte, zgwałcone banalnościami techniki narracyjnej.

Najbardziej zwarty jest bez wątpienia tom pierwszy. Tutaj odrazu widzimy tetmajerową koncepcję legendy Napoleońskiej. Epopeja dokonywała się w łonie olbrzyma, a odzwierciedlała tylko widome w łonie świata cywilizowanego. On sam, ten Niezwyyczajony był sobie celem i był genezą wydarzeń wszelkich. Przez tę abstrakcyjność istoty epoki i istoty jej motoru nadczłowieczego całokształt okresu zdobył miano Legendy, a on mocą swego abso-lutnego egocentryzmu, wyidealizował Europę, zmusił niewidzialnie do dobrowolnego szalu poświęceń, jakiego od wypraw krzyżowych ziemia nie była świadkiem. Tu w tomie pierwszyemu czujemy tchnienie geniusza, który na równi z Bogiem samym żary mistyczne niecierpiał, w reminiscencyach staje przed nami beźmierna potęga, jaka z Korsy-kanina uczyniła władcę pół Europy, nie potęgą zbrojna, nie umiejętność strategiczna nawet — nie — to wszystko były narzędzia, części składowe — jego stanowiła — Wola! Wola tak jednolita, że łączyła w sobie pierwiastki chęci- nia wytycznego, twardego, wiary w konieczność ziszczenia wiary w dobro własnego ja i wszystkich tego ja wyni-ków, wola czynna i wola bierna połączone w jedno, wola najsyntetyczniejsza, jaka się kiedykolwiek wcieliła w stwo- rzenie ludzkie. Najmniej wstrząs tej Woli, a świat zmieniał maskę, najlżejszy zgrzyt w jej gmachu doskonałym, niedostrzegalne niemal zachwianie jednego z atomów fundamentu stanowiących, a pan świata, Kolos chwiał się w posadach. Po reminiscencyach tej dawnej jednolitości ducha, przebłyskach świętnych, błyskawicznych, czujemy magnetycznie pierwsze drgnienie ujemne w misternej budowie duszy bohaterskiej. I tu już wiemy z poetą, że nie mroź, nie klimat, nie car Aleksander powala Napoleona, ale że jego własne zwątpienie, choć ledwo zarysowane do- piero przed jego i naszą świadomością go zniszczy, bo to już fala wsteczna wobec rwącego prądu jednej Woli. Przeznaczenie Napoleona dokonano się w nim samym, gdy powstał w nim pierwsze w jego życiu wahanie, czy wy- powiedzieć wojnę; on, co rozstrzygał, nim zapytał, nie powinien był ważyć za i przeciw, jak człowiek. On wywołał, a nie przecuł Błezynę, wszystko skupia się w jego procesie duchowym. Świetne są stronicie 200 — 230 mniej- więcej tomu I-go, gdzie Bonaparte traci już zupełnie świadomie równowagę, traci moc wobec samego siebie, nie widzi celu konkretnego walki, jaka prowadzi, a poznaje, że już ta walka nie osiągnie umiłowanej abstrakcji...

W rysunku Rosyji daje ten tom I obraz solidarności tłumy, na pozór dodatniej, bo samozachowawczej, obraz jej przewagi nad genuszem jednostki, pozornie ujemnym, bo materialnie niszczącym. W tem wszystkim jest potęga obrazowania i jest ukryta moc sceptycyzmu bardzo wysokiego.

MARYA RAFAŁOWICZÓWNA.

(DOK. N.)

SZTUKI PLASTYCZNE.

Wystawa Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięk-nych w Poznaniu nie mieści w sobie tym razem dzieł samo- rztnych, nawiąsk oryginalnych, w których artysta wypowiada się niezależnie od wpływów panujących, a jednak ukazuje nam dzieła szczerze, śmiało i doprowadzone do znacznej doskonałości w koncepcji i technicznym przeprowadzeniu.

Do dzieł tych zaliczyć należy przedewszystkiem akwarele Kędzierskiego i przeważną część akwaeli Trzebińskiego.

Gdy chodzi o techniczne rozwiązanie akwaeli, to pod- padają tu diametralnie przeciwne drogi, któremi kroczą ci artyści w poszukiwaniach swoich. Podczas gdy Kędzierski śmia- lym rzutem barwne zestawia plamy, nadając obrazowi świeżość i siłę kolorystyczną, Trzebiński — rzecz można, akwarelą rysuje, doprowadzając krajobraz swój do pewnej wzorowości kosztem impresji artystycznej.

Kwiaty Kędzierskiego żyją w pełnej swej krasie a życiem swem zabijają nawet z brawurą i śmiałością rzuconą girlandę kwiatów, spowijającą słup barokowy — pędza Wyżółkowskiego.

Wdziękiem i salonoową wytwornością obecnej wystawy są obrazy Axentowicza.

Do rzędu prac przestudowanych, przemyślanych, a znacz- nem podłożu kultury artystycznej zaliczyć można utwory Sko- czyłasa. Artysta z całą rozważą układa barwne płaszczyzny i z całą świadomością sprzeciwia się „prawidłom” rysunkowym przyrody, gdy te „prawidła” w sprzeczności stają do jego kon- cepcji artystycznej. Mehofferowska rozważa artystycznie i sou-

tyment Stanisławskiego, oto wpływ, któremu zdaje się ulegać Skoczyła.

Na koniec należy zwrócić uwagę na ogólne zamię prac szczerych, mające poważniejsze aspiracje — a do tych zaliczamy prace Pajzderkajki, Tatuli, Mukułowskiej, Jasnocha... Otóż w mniej- szym lub większym stopniu widoczna jest na wszystkich wysta- wach (krakówskich, warszawskich, lwowskich i poznańskich) gonitwa za techniką malarzką, która nieraz wielkie wartości wewnętrzne w rozwoju hamuje albo zgola zabija i wprzaga młodą indywidualność w rydwan manieri wybitnego malarza.

Zważyć jednak winniśmy, że technika, acz konieczna do wypowiedzenia się swobodnego artysty, nie jest niczem innym, jak tylko środkiem do umysłownienia drgnień duszy artysty, a więc jako środek nie stanowi wartości twórczej.

Technika przychodzi prędzej czy później z biegiem lat pracy, a staje się tem oryginalniejszą, im artysta mniejz na nią kładzie nacisk.

Siła twórcza wypływa z wrażliwości, głębi i mocy duszy artysty a dzieło jest tem doskonalsze im dystans między twórczą ekstazą a wykonaniem technicznym jest mniej dostrzegalny, czyli, im wyraz twórczy mniejz zaznaje skrupowania technicznego.

Zdaje się, że przedstawiciele najmłodszych prądów w ma- larstwie i rzeźbie rzecz tę pojęli i dlatego dzieła ich odznaczają się tak niezwykłą swobodą...

Rzeźbę reprezentuje na obecnej wystawie sumiennie wy- konany biust (portret p. Chł.) dłuta Marcinkowskiego.

J. H.

U POETÓW.

Genialnym wprost poetą współczesnego dramatu angielskiego, pisanego wierszem, a więc deklamatorycznej tragedji w jambach, zowie łaty angielska *Stéphena Philippa*. Ani *Brownings*, ani *Swinburne* nie dorównują mu w dziedzinie dramatu — oczywiście według angielskiej krytyki — bo żaden z nich na scenie powodzenia nie miał. Trylogia *Swinburne'a*: „*Chaatelard*“, „*Bothwell*“, „*Mary Stuart*“ nigdy nie była wyatawiana — za piękna i za głęboka na scenę — z dramatów *Tennysona* cieszą się tylko jakim takim powodzeniem „*Queen Mary*“ i „*Harold*“, zreszczenie okrojone, pocięte, do sceny przystosowane przez sprytnego dramaturga, zaszczytną wzmianką pomija się bardzo cenione, ale nigdy nie grane dramaty *Yeatsa* *Williamsa* i *John Davidsona*: jedyny tylko *Stephen Philipps* cieszy się niezmierną popularnością, większą jeszcze, aniżeli była ta, która *Oskara Wilde'a* z drogi czystej i przebogatej sztuki zepchnęła na śliskie manowce pogoni za „ogólnem uznaniem“, czego miał później tak gorąco i tak boleśnie żalować. Pierwszy dramat *Philippsa*, pisany niezwykle pięknym językiem, miał niebywale powodzenie: „*Paolo and Francisca*.“ Krytyka angielska tonęła w ocenie zachwyty i jednogłośnie powitano w tym dramacie cudowne objawienie renesansu dramatu angielskiego wogóle. Dowodem to tylko, że naród, z którego ona powstał *Szekspir*, dziś zadawała się jak najzupełniej — melodramatem bardzo podejrzanej wartości. *Philippsa*, urodzony 1866 r., syn pastora, wstąpił rychło do teatru, odznaczył się chlubnie jako wykonawca ról szekspirowskich dramatów i poznał dokładnie wszystkie środki, jakimi scena na publiczność działać może. To też w dramatach jego znajdzie się wszystko to, czemu dramt powodzenie na scenie zawdzięcza: konstrukcje mózgowce, bajeczne, a tanie, częstokroć brutalne efekciarstwo sceniczne, manekiny teatralne, przepychy wystawy, tracący nieraz orłylnarną bezstyłowość *Barnuma*: wszystko razem, jak przedewszystkiem phono-kino-spektakl jego *Nero*: „magnificent spectacular melodrama!“

Nie dramaty *Philippsa*, ubóstwiane przez publiczność angielską, stanowią o jego istotnej wartości twórczej, ale ta garść wierz, którą pomieścił *kuzyn jego Lawrence Binyon* w swej antologii pod tytułem „*Primavera*“, a przedewszystkiem mało znany tomik jego poezji: „*Poems*“ (1897).

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Panu T. Z. w T.: Rocznice, obchody, jubileusze...

Liś pański, jak nie mniej uwagi z innej strony, zarzucające „*Zdrojowi*“ „pomijanie“ obchodów, rocznic i „zapominanie“ (!) o nich, powodują nas do określenia i wyjaśnienia naszego w tym względzie stanowiska.

Publiczność przyzwyczajona przez prasę codzienną do myślenia o rzeczach aktualnych, rzadko tylko tu i ówdzie wychylająca się poza rąbek dnia lub tygodnia, rzci pamięć swych ludzi wtedy tylko, gdy sumienny, punktualny, redakcyjny badacz kalendarza lub wyciącz z gazet ogłosi pamiętną datę śmierci wielkiego ziomka albo wiadomość o zgaśnięciu doczesnem popularnego człowieka zagranicznego, do którego tworów szeroka masa już zdolała się przyzwyczaić.

W mniemaniu swem dziennikarstwo spełnia tem samem zaszczytne zadanie stróża narodowej sławy i pośrednika między kulturą świata a kulturą Narodu.

Dzień rocznicy!

Gazeta wzmianką albo zgola artykułem mniej lub więcej widocznym składa hołd nieśmiertelnym ceniom, aby te po dnia

owego uplywie zwały się z powszechnym cieniem zapomnienia. Łaskawe na wielkich zmarłych dziennikarstwo i łaskawa na nich publiczność zadowolone z spełnionego obowiązku nazajutrz do nowej aktualności przechodzą, uczyniwszy przeciw zadość aktualności dnia uroczystego.

A jakoż to u nas wygląda oddana cześć wielkiemu zmarłemu?

Wśród zewnętrznych oznak uroczystościowych lubimy załatwiać nasze aktualne obrachunki zbrojni w puklerz bohatera obchodu, cześć mu oddając dla tego, iżby przeciwnika zdystansować, iżby zgniebić konkurencyę.

Wśród wycisgu jubileuszowego, jubilat — żyw czy zmarły — tuli się gdzieś po kątach i zaułkach a cześć i chwala głoazona pod jego adresem spada na prasę, na kramy, które najliczniej wystawiały towar jubileuszowy, aż wreszcie bohaterami i bohaterkami dnia stają się ci, którzy aranżują uroczystościowe wieczory i ci, co mają pole do popiauu...)

Obowiązkowi narodowemu wszakże stało się zadość!

Czci dla wielkich Duchów i pamięci o nich „*Zdrój*“ nie pojmuje urzędowo, rozgłośnie, z obowiązku i nie dla tego, że kalendarz notuje odnośną datę.

Duchów wieczne obcowanie, wewnętrzne przeżywanie ich życia — oto nieustająca adoracya, oto hołd najkorniejszy, oto cześć najwyższa, którą winni jesteśmy tym, z których poczęły się nasze dusze. Żyć się z ich wnętrzem życiem, złąć się z ich twórczą istotą — oto wieczysty jubileusz, oto prawdziwy hołd naszym cieni składany ich słońcom.

Dla naszych festynów pamiętkowych, obchodów i rocznic nie mamy zrozumienia; nazbyt wielki wyczuwamy dystans między czcicielami a czczonymi.

Dziwicie się, że „*Zdrój*“, „mając sposobność“ złożenia hołdu wielkiemu Naczelnikowi właśnie w dniu 15-go października dnia tego nie skorzystał, „mając sposobność“ wypełnienia swoich łamów biografią *Grottgera*, *Rodina* oraz popisania się dbłą pamięcią o dniu śmierci *Wyspiańskiego*, nie uwydatnia swoich w tym względzie zalet.

Otóż różnica poglądu na kwestyę obchodów polega tu jedynie na różnicy stosunku do czczonych geniuszów.

Nie przesądzając wartości obchodów z względów oświatowych, politycznych, religijnych i t. p. — jesteśmy: przeciwni wszelkim demonstracyjnym festynom i pamiętkowym obchodom jako też obowiązkowym feljetonom uroczystościowym, ponieważ one nie mogą stwarzać łącznika między społeczeństwem a danym bohaterem, ani dać godny wyraz czci i pamięci dla jego ducha.

Jakaż jest łączność między *Wyspiańskim* a codzienną gazetą polityczną, która nie tak dawno namiętnie zwalczała jego idee a obecnie uważa za stosowne dlatego umieścić o nim feljton, że umarł przed dziesięciu laty? Jakaż jest łączność między *Rodinem* a gazetą polityczną, która przez śmierć jego dowiedziała się o jego wielkości albo zgola o jego istnieniu — i da feljtonu popiesznie zacerpnęła w pobliskiej księgarni najpożrebniejsze informacje o zmarłym rezerbarzu?

Pozostawcie zatem prawo składania hołdu wielkim Duchom, hołdu i tego istotnego, cichego uwielbienia w ustawicznym, niegasnącem obcowaniu, prawo do ich modlitwy, w której ich dusze gwarzą o Wieczności.

Doniedawna kamienowaliście proroków a dziś ich cienie oświetlacie — kinkietami...

Panu K. R. w Szam. O „*zdrow*“ Sztuk. Za obszerny list Pański serdecznie dziękujemy. Żąda Pan, abyśmy raz wreszcie wytoczyli sprawę „*zdrowej*“ i „*niezdrowej*“ sztuki

!) Wopomnieniu choćby obchód grunwaldzki w Krakowie, albo oddanie pomnika *Słowackiego* w teatrze posadałskim.

przed forum publiczności, by raz wreszcie położył kres bala-muctwu jej opinii. Nie wiemy wprawdzie, co jest „zdrowa” lub „niezdrowa” sztuka, jak również nie wiemy, co ma oznaczać „stara” lub „nowa”, ale według możliwości postaramy się wy-wieć rodowód tych pojęć.

„Przymiotnik „niezdrowy” w określeniu do sztuki — po-wiada Oskar Wilde, jeden z najbystrzejszych poetów-krytyków angielskich (a krytyk, który nie jest twórcą zarazem, jest prze-kleństwem dla sztuki) — jest dla tego taki drażniący, bo ludzie, którzy się nim posługują, nie znają wcale jego znaczenia. Cóż jest „zdrowe” a co „niezdrowe” w dziedzinie sztuki? Wszystkie umiętne określenia danego dzieła sztuki odnoszą się albo do stylu, albo do treści jego, albo wreszcie do obu momentów. Odnosnie do stylu dzieło sztuki jest zdrowe, jeżeli styl oddajna całą piękność użytego materiału, bez względu na to, czy materiałem tym są słowa, czy bronz, farba, czy kość sło-niowa i jeśli piękność ta służy jako środek do wywołania wra-żeń estetycznych. Odnosnie do treści dzieło sztuki jest zdrowe, jeżeli jest skończone i jeżeli jest indywidualne. Rozumie się, że treść i forma nierozdzielna, w dziele sztuki stano-wią całość. Dzieło sztuki jest zatem niezdrowe, jeżeli styl jego jest zwykły, konwencjonalny i gminny, a treść troskli-wie wyszukana nie dla tego, że artysta rozkoszuje się w tej treści, ale dla tego, że liczy na zapłatę publiczności. W samej rzeczy jest n. p. powieść popularna, uchodząca za „zdrową” utworem wręcz „niezdrowym”; a to, co publiczność zowie „niezdrową” po-wieścią, jest najczęściej pięknym i zdrowym dziełem sztuki.”

Tak mówi Oskar Wilde, ale może to zbyt ogólnikowo powiedział, by prawda ta, mogła być w całej pełni pojęta, by publiczność mogła zrozumieć, że żywi się nawskroś szkodliwą, trującą strawą, jaką ją jej „ulubieńcy” karmią — to znaczy kłamstwem i obłudą. Dosadniej wyłożył tę prawdę Oskara Wilde’a Przybyszewski. Nie znamy człowieka, twierdzi P., nie mamy nawet wyobrażenia o nim, bośmy go wyrwali z całej przeolbrzymiej sfery, w jakiej on w swojej pełni żyje.

„Człowiek, dostępny naszej rozpoznawalności ma, jak wszystko w naturze, dwa bieguny, na jakie przynajmniej schematyzujący mózg ludzki go rozdzielił: południowy i północny, świetlisty i ciemny, dobry lub zły, użyteczny lub szkodliwy, borykający się z zdrowy: tysiące nazw istnieje na określenie tych wrzeczono sobie przeciwnych biegunów, ale te bieguny — ciężką tajemnicą apowite, bo „nie wolno” ich „odkrywać” — jacy szczęśliwi poszukiwacze biegunów ziemi, których ekspedycje całe społeczeństwo autym grozom wapomaga!

Dla badań twórcy dozwolony w człowieku tylko mały obręb tej południowej sfery, tej dobrej, szlachetnej, pozytywnej, współblizniogoj uszczęśliwiającej, i badania w tej hemisferze są niezmiernie ułatwione „sub auspiciis” kościoła i prawa cywilnego, a badaczom jej zapewnione są zyski i dostojęństwa za życia, a groby „zasłużonych” po śmierci.

Na biegun tej hemisferoj jednakowoj wdżierać się nie wolno albo przynajmniej nie jest wskazane, i niechętnie widziane są te wysiłki przed instytucję, która tę hemisferę w arendę wzięła: kościół urzędowoj, jako istotny zwierzchnik całego społeczeństwa.”

Tu na tej półkuli, w tym małym, dla twórcy wyznaczonym obrębie, zamieszkał duch jasny, pogodny i pewny, który cały świat rozświetla, duch, obdarzony szlachetną właściwością przebaczenia i pokory, o ile nie potrzebuje nadstawiać ewan-gielicznego „drugiego policzka”, duch „świątego egoizmu”, osadzonego na grubej osi, ulanej z złotego ciela, duch sprawiedli-wości atżegający ściśle praw, zachodzących między pokoleniem Sema, Jafeta a Chama, czynny duch, by przez praojców, przez wieki całe, przez „consensus omnium” uświęcony, kanon życia

w niczem naruszony nie został, duch obyczajności, normy i prawa zarównie pisanego, jak i ustalonego „tradycją.”

Zdarza się wprawdzie, że ta pospolita „joje de vivre”, — najwyzsza prawda życia „porządnego” — przeraża się, a raczej przerażała w najwikszym swym rozkwicie w upojny zachwyty, w świętą radość zlania się z bóstem! Ale i tu przez indy-widucję osamotniona cząstka ludzkości, stęskniona za wytłuma-czeniem i ukonieniem swego ubożego życia, natrafia na surowy nakaz, by tylko w żadną „mistrykę” się nie wdawać, bo w tej dziedzinie dogmat traci swe znaczenie. A biada temu, który zaczo-rwane koło dogmatu przekroczył. „Tragiczne” skutki takich usiłowań przedstawia twórcą tej hemisferoj Sienkiewicz, w swej powieści „Bez dogmatu.”

„Zdrowym” więc jest tylko człowiek w maleńkim kółeczku całej pełni swego życia: człowiek — najpospolitza norma, człowiek-wykravek nędzny ad usum Delphini: porządnego społeczeństwa — człowiek-niewolnik tysiąca praw, reguł, konwensów: taki tylko jest zdrowy — a twórca, który nędzną tę karykaturę człowieka daje, jest „popularny”, to znaczy zdrowy i tylko taka sztuka, która karykaturę tę człowieka odtwarza, jest zdrową. Widzimy przecież, że już wykraczania artyaty poza ten obręb, wdżieranie się w zawrotne strefy tego roz-połowionego człowieka, wnikanie w zakres, wyznaczony przez „mistrykę” już jest „niezdrowe” — są przecież klasztory, w któ-rych nie wolno czytać pism św. Teresaj.

Całkiem już atoli „niezdrowy”, „zgnity”, „wykłyty”, „gor-szy od morowej zarazy” twór tego artysty, który się odważa wkroczyć w tę drugą ciemną i ponurą hemisferę człowieka — biada onemu śmialkowoj, który się w nią wedrzeć usiłuje!

Tą hemisferą północną, mówi Przybyszewski dalej, ciemną, grozną, niebezpieczną i dla wszelakiego „porządku” wroga, zamieszkuje to wszystko, co się z pod wszelkich praw i wszelkiej normy wymalowało, co nie kroczy bitym gościńcem, ale „błądzi” krętymi ścieżkami, co chyłkiem przekrada się w cieniach nocy i lęka się światła dziennego: wszystko, to, co wskutek niesfor-ności i krnąbrnego zuchwałstwa poza nawias społeczeństwa wy-rzuczone zostało, bo ten wyuzdany element zakłóca spokój i har-monię gromady, a biegunem tej sfery: to niebezpieczne pragnie-nie przez indywiducję osamotnionej jednostki, by się przecze-niem, protestem, nieokielznanem „Liberum veto” istniejącomu porządkowoj w poprzek stawieć: tęsknota i zaciekłe pragnienie wytłumaczenia swego bytu i usprawiedliwienie tegoż przez Bunt i Wywrót — ponura, rozpaczna tęsknota, która się w nie-przeparłej potrzebie, przełamania wszystkich praw, wszystkich istniejących norm wyzwolić pragnie — ku czemu? Nie wie, bo w tej sferze niema jawności i niema owej ostoi, jaką ludzie owej słonecznej sfery posiadają: choćby się, Bóg wie, jaką zbrodnią zbrukali, mają aż nadto doayć środków, by z wszyst-kich występków się oczyścić i być nad śnieg bielazymi i jakby zielen hyspuz z grzechu oczyszczonymi.

Zresztą posłuchajcie co mówi Wacław Berent:

„Może niejedon pomyślał już nad tem, że błądzący duch jest bądź co bądź więcej wart od sennego i upartego, z których pierwszy rodzi w okół łatwe zadowolenie, drugi z brutalną zawziętością wyrwa wszystkie nowe kielki dlatego tylko, że swój wzrost nie tak rozpoczyna jak to stare drzewo uczyniły. Może niejedon zastanowił się już nad tem, że tam, gdzie drga i krwawi serce, gdzie myśl pracuje bezustannie i zrywa się do najwyższych wzlotów, że tam nie może chyba być mowy wy-lącznie tylko o niemoralności? że niespokojna twórcza myśl szukająca nowych dróg najłatwiej na błędne ścieżki schodzi i że tej jej błądzenia nie są zupełnie bezowocne.”

„Kościół lęka się „czaru” grzechu, pali to piekielnie piękne zielsko: „fleurs du mal” i społeczeństwo lęka się odurzającej piękn-

ności, hardem czołem w podniebne chmury wzrastającej, burzą i huraganem owitej, w świetle oszalałych błyskawic kroczącej potęgi wszelkiego rodzaju „Postępu!”

„A „postępem” jest wszystko, co grozi zakłóceniem ustalonego porządku, wtrząśnięciem stabilizacji, niszczeniem harmonii. „Postęp”, to ta piekielna kraina, w której się dokonują wywroty odwieczne starych, uświęconych balwanów, w której się zagwi bezustannie „zbrodniczy” bunt przeciw autorytetom i największym tradycjom, moczar, na którym odprawiają się „szatańskie” harce błędnych ogników nieokielzanych pragnień, niszczycielskich tęsknot, bajor smoczej krwi, w której szatan dusze ludzkie znieczula na wszelkie męki i katusze i czyni je wiejeć od zimnej opoki „zatwardziałyymi.”

Tu już się rozpoczyna — o zgrozo! Wszelki duch Boga chwali! — satanizm! Tylko o tem nie mówić! Czyż to nie malutkie i śmieszne!

Blache przypadłości fizjologiczne zdrowia lub choroby wnosić do pojęć o Sztuce — przypadkowemi wytycznemi, w danej chwili wskazaniami dla życia społecznego, co jest dla niego dobrem lub szkodliwym, mierzyć wartości estetyczne — o! to już jest ordynarne, gminne, a zatem według Oskara Wilde'a niezdrowe. Niema książek moralnych lub niemoralnych — są tylko dobrze napisane lub źle napisane, mówi Wilde na innem miejscu. Niema zdrowej, lub niezdrowej sztuki, tylko publiczność jest zdrowa, lub chora — niema sztuki czystej lub nieczystej, tylko publiczność jest ta, o której powiedziano: — „für den Reinen ist alles rein!”

Dla Stanisława Tarnowskiego, hierofanty krytyki polskiej, był Słowacki „biednym”, „obłąkanym maniakiem”, dla ucznia jego Tretiaka prostym „megalomanem” i czegoż to dowodzi? Zdrowia, lub niezdrowia tworu Słowackiego? Bynajmniej! Ili tylko kalektwa umysłowego tak Tarnowskiego, jak i Tretiaka, którzy nie byli w stanie zrozumieć tego, co Słowacki napisał. Kto tu jest chory, a kto zdrow?

W 1868 r. całe społeczeństwo francuskie wyło, ryczało, wilo się w konwulsjach śmiechu nad pierwszym obrazem Edwarda Maneta, — dziś i za milion franków nie kupiłbyś jednego jego obrazu. — Kto tu był chorym? Społeczeństwo, które Maneta ~~z~~ obłąkańca okrzyczało, czy też Manet, który stał się pijem całego współczesnego impresjonizmu? Kto był chorym? Św. Inkwizycja, która potępiała Galileusza, czy też Galileusz z swym maniakkiem: e pur si muove! Kto jest chory? Czy ten potężny Flaubert, który odważył się swoją sondą zapuścić aż na dno duszy kobiecej w „Madame Bovary” z taką zaciętką, silną sprawnością, że go przed trybunał zawleczono, czy delektujący się przy czarnej kawie i likierkach „duszą” Weysenhof, albo też lekiwli na wasze strony oglądający się Sienkiewicz, który w swych Anielciach dawał jakiegdyś karykaturalne anielice, by tylko uświęconego „cantu” społeczeństwa nie naruszyć? A przecież tego samego Sienkiewicza posadał hr. Tarnowski, wszechwładny ongi krytyk „literacki” w Krakowie, polskich Atenach (1), o „niezdrowe” tendencje w jego „Janku Muzycykanie!”

Nie sztuka jest zdrową, lub chorą, bo sztuka nie podlega fizjologicznym przypadłościom, ale ten odłam społeczeństwa, który ją za chorą okrzykuje, jest chorym.

Nie „Anna Karenina”, ten najczystszy i najszlachetniejszy wyraz twórczości Tołstoja jest „plugawym” utworem, ale ten osobnik, który śmiał błotem ten utwór ewangelicznej miłości obrzucać.

Chorem, niezrozumiałem, bredniami, mąlgłą i obłędem jest wszystko to, co ON nie zrozumiał.

Kto jest ten wszechmocny ON??

Rémy de Gourmont daje wspaniałą na to odpowiedź:

„Ten, który nie rozumie, nie jest wrażliwym ani na muzykę, ani na logikę i głuchy jest, ale nie jest niemy, bo gdziekolwiek się znajdzie, wrzeszczy w niebogłosy: „Ja nie rozumiem!”

„Jak inny — ze swego talentu, ze swych idei — tak on dumny jest ze swego nierozumienia i z łachmanów frazesowych, któremi odziewa swą nagość duchową... Zdolność ta daje mu poważanie ogólne.

„Poszukują go bowiem ci, którzy nie rozumieją, watydzą się tego trochę, jego jednak pewność siebie dodaje im odwagi. „Patrzcie — mówią do siebie wzajemnie — ten także nie rozumie, a jednak nie rumieni się — przeciwnie! Przeciwnie: on zna swą wartość i nie zawaha się nigdy siebie na pierwszym planie postawić.”

Nie sztuka zatem jest chorą, tylko on ślepy i głuchy krzykacz, który nieestety nie jest niemy, a swą beczczością, i jaką się umie na pierwszym planie postawić, tak tłumowi, niedawno jeszcze rumieniącemu się ze wstydu za swoje „nierozumienie”, imponuje, że staje się dla niego wyrocznią.

Powróćmy jeszcze nieraz do tej dławiącej, duszącej, plugawiającej, krzyżującej potęgi, której symbolem jest właśnie ten ON. Duch wylęgającego się lenistwa, rozkładu bytowania w odwieczne jednej i tej samej formie, zaciekle wróg wszelakiego rozwoju i doskonalenia się: w przeciwstawieniu do Szatana-Lucyfera-Prometeusza — nędzny, marny ku sy djabł z czasów króla Sasa, kiedy to „pij i popuszczaj pasa!” było wyrazem tej kultury, jakaby ów ON w Polsce mieć przagnął.

MASKI.

Z czytelnikami dzielimy się nowiną o powstaniu w Krakowie nowego pisma p. t. Maski (Literatura, Sztuka i Satyra) pod kierownictwem literackim Tadeusza Świątki i artystycznym A. S. Procajłowicza; redaktor odpowiedzialny: Roman Czapliski. Czcionkami Drukarni Narodowej w Krakowie.

Maski i ukazały się z dniem 1-go stycznia 1918. Pierwsze dwa zeszyty nie doszły nas, z zeszytu III. przekonujemy się o wysokim poziomie pisma.

Szczegółowe uwagi o nowem piśmie umieścimy w zeszycie IV. Zdroju witając dzisiaj gorąco nową kulturalną placówkę.

KSIAŻKI NADESLANE.

Stefan Żeromski. *Powieść o Udatym Walciersu*. (Rysunek W. Skoczylasa). Zakopane 1918. Księgarnia Podhalańska. — Jan Nepomucen Miller. *Achilles na marach. Dytyramb*. Nakładem autora. Warszawa 1918. Gebethner i Wolff. — M. Swiechowcki. *Zywiot polski na ziemiach litewskich. Stosunki ludnościowe i własność ziemska. Szkic statystyczny z mapką i tablicami w tekście*. Zakopane 1917. Księgarnia Podhalańska.

ERRATA.

W zeszycie 2. U poetów — Miriama str. 52 ma być: ~~znit~~ zamiast zamilkł — ~~śnit~~ zamiast świszczy — ~~naszch~~ zamiast waszych.

„Ostoja“ Spółka Wydawnicza

w Poznaniu, plac Wilhelmowski 17

Przybyszewskiego: Szlakiem duszy polskiej
wyczerpane — Nowy nakład ukaze się w końcu maja

Chrzanowskiego: Z wybrzeża i o wybrzeżu
na wyczerpaniu — Cena 2 mk.

W. Gomulickiego: Pamiątki Kościuszkowskie
na wyczerpaniu — Cena mk. 4.80

Poleca się:

KASPROWICZA:	Sita	5.20
NOWACZYŃSKIEGO:	Pałaski w Ameryce	6.50
TYCA:	Facecje z dawnej Polski	3.60
SZYDELSKIEGO:	Kult ogniska domowego i przodków	1. —
KONCZYŃSKIEGO:	Raj odzyskany	5.40
PERZYŃSKIEGO:	Opowieści niezwykłe	10. —

Skład główny na Król. Polskie w Warszawie **Gebethner & Wolff.** Skład główny na Galicyę w Krakowie **Gebethner i Spółka.**

Stare wina węgierskie

szlachetne krescencje magnackie i nadworne
w 1/2 butelkach i w 1/2 gąsiorkach.

- 1) rocznik 1848 nr. 20. Słodki Tokaj
- 2) „ 1863 „ 17. Stary Tokaj nadw.
- 3) „ 1866 „ 18. Słodkawy Tokaj
- 4) „ 1868 „ 20a Lekki słodki Tokaj.
- 5) „ 1876 „ 3. Stary Tokaj nadw.
- 6) „ 1876 „ 14. Stary Tokaj nadw.
- 7) „ 1880 „ 22. Stary lekki Tokaj
- 8) „ 1883 „ 19. Stary Tokaj
- 9) „ 1889 „ 8. Stary Tokaj.
- 10) „ 1901 „ 10. Stary lekki Tokaj
- 11) „ „ 4. Stary słodki Tokaj

B. Kasprowicz
w Gnieźnie.

Nowości zimowe

Kostiumy	od 30 do	550 M.
Spódnice	15 „	190 „
Ulstry	38 „	360 „
Paletoty aksam. i plusz.	90 „	1200 „
Suknie	60 „	300 „
Bluzki	18 „	100 „
Halki	12 „	80 „

Płaszczki futrzane, Futra
sportowe od 200 do 2000 M.
Garnitury futrzane
od 60 do 1400 M.

M. MALINOWSKI

Najwięk. specjalny magazyn okryć damskich
Poznań, Stary Rynek 57, parter i I piętr.

S. KALAMAJSKI, Plac Wilhelmowski 2.

Dla Pań		Dla dzieci		Dla panów	
Bluzki Gorsety Halki	Pończochy Rękawiczki Kołnierzyki	Sukienki Trykoty Fartuszki	Torebki Kołnierzyki Kapelusze	Skarpety Rękawiczki Krawaty	Szelki Trykoty Parasole
  TOWARY KRÓTKIE - KORONKI - WSTAŻKI.  					

W. MIZGALSKI Poznań - Bazar

Magazyn bławatów, konfekcyi damskiej i futer
poleca na sezon zimowy

Gotowe futra
„ garnitury futrzane
„ płaszcze
„ kostyummy
„ suknie
„ szlafroczyki
„ bluzki
„ czapki sealowe

Własne pracownie

skunksy, seal bisam, opossum, bobry, nutria,
karakuty, zrebce, popielice, bielistki, chinchilla,
gronostaje, sobole, nurki, tomaki, wilki, lisy
białe, patagońskie, mongolskie etc. w wielkim wyborze

Udziela się

Lekcje techniki
i estetyki żywego słowa.

Gdzie?

Wskaże administracya „Zdroju.“

L'Eroica

Dir. E. Cozzani

La Polonia

Wydanie wytwornie ilustrowane i barwnymi drzeworytami przyozdobione.

Cena 25 mk.

Do nabycia w „Ostol.“ Poznań, plac Wilhelmowski 17.

Fortepiany, pianina i harmonia.

Jak wiadomo, tylko fabrykaty pierwszorzędne,
także Bechsteina, Berdixa, Steinwega, Schiedmayera, Hinkla, Horrigla, Burgera itd.

Karol Ecke w Poznaniu, ul. Wiktoryi 19

założ. 1843

Berlin-Drezno. Najwięk. i najstarszy magazyn. Katalogi bezpłatnie.

